№ 6. Warszawa, dnia 29 Stycznia (10 Lutego) 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. - Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

JAROSŁAW VRCHLICKI

i jego tragedya

„DRAHOMIRA".

Napisał

Zenon Przesmycki.

I.

Mało a właściwie prawie wcale nie znamy dzisiejszego stanu literatury czeskiej. Zatopieni w świetnej plejadzie poetów naszych Mickiewiczowskiego okresu — nie przypuszczamy, aby który bądź z narodów słowiańskich mógł odebrać nam pierwszeństwo w dziedzinie poezyi.

A jednak ostatnie czasy dały Czechom poetę, który śmiało dzisiaj uznany być może za wieszcza całej Słowiańszczyzny. Odziedziczył on powagę Mickiewicza, głęboki, filozoficzny pogląd Krasińskiego i wreszcie cudny, migoczący wszystkiemi tęczy barwami język Juljusza. Dodawszy do tego jasne pojmowanie celów i dążeń dzisiejszego wieku, zgodzimy się że jest to olbrzym, któremu snadno było zostać następcą wieszczów naszych. Poetą tym jest Bohusz Frieda, znany pod pseudonymem Jarosława Vrchlickiego. Młody jeszcze, bo zaledwie 30 lat wieku (ur. 1853 r.) przebiegł już wszystkie prawie szczeble twórczości poetyckiej. Nie licząc wzorowych tłomaczeń Wiktora Hugo, Leopardi'ego, Dantego, Leconte'a de Lisle, Hafiza i wielu innych, zdołał Vrchlicki w przeciągu tego stosunkowo dość krótkiego czasu wydać kilkanaście zbiorków swoich poezyi.

Widać w nich jasno stopniowe kształtowanie się i coraz większy rozwój jego geniuszu. W pierwszym cyklu „Z hlubin" znać to niespokojne miotanie się ducha, co jeszcze nieświadom siebie i dróg przed nim otwartych, rwie się naprzód, błądzi czasem, wątpi i znów wybucha, jak wulkan. W następnych zbiorkach duch poety stopniowo poczyna władnąć sobą, wzburzone morze namiętności powoli uspakaja się, występuje refleksya, która nie umniejszając gorącości kolorytu i barwności obrazów, nadaje im pewną celowość, prowadzi poetę na pole najważniejszych zagadnień społecznych i doprowadza do skończonego filozoficznego na świat i ludzkość poglądu. Wyrazem tego ostatniego stopnia twórczości Vrchlickiego jest najcelniejszy zbiorek jego poezyi: „Duch a sviet". Przedstawia tu poeta historyczny rozwój ducha ludzkiego we wszechświecie, poczynając od wieków zamierzchłych przez świat klasyczny, wieki średnie, aż do zagadnień i dążeń dzisiejszych czasów. Prolog zatytułowany: „Wieki" brzmi głęboko zwątpieniem. Stulecia przechodzą przed tronem Pana i rozpacznym jękiem tętnią ich słowa:

„Na co z otchłani przedwiecznej nicości
Tyś nas wywołał? Jakie są twe cele?
Teraz rośniemy, my, dzieci wieczności,
Niosąc ludzkości szał, ból, płacz, wesele."

Dokąd idzie ludzkość? Co ją czeka? Czy dąży ku słońcu prawdy, czy też w błędzie kroczy? Takie pytania rozpierają mózg myśliciela.

I oto myśl jego przebiega dzieje wszechświata: od chaotycznych zaczątków jego, gdy tysiąc kul płomiennych migało w przestrzeni, gdy ocean potopu zalewał nieszczęśliwą ziemię, gdy pierwsza tęcza dziwiła oko ocalonego rozbitka i gdy półsenna wyobraźnia ludów snuła podania o sennym starcu na szczycie Araratu. Kąpie się w pogodnych blaskach nieba greckiego, prześlizguje się między chorowodami nimf i satyrów, odnajduje straconego *Pana*, co „powrócił mir znękanemu sercu i uczył grać na piszczałce leśnej". Wreszcie, przebiegłszy ciemny, ponury krąg legend średniowiecznych, rzuca się w otchłań zagadek dzisiejszych czasów. A to wszystko, aby z przeszłości wysnuć wniosek o przyszłości.

Przez ciąg wieków duch ludzki przepotężną siłą zrywa krępujące go więzy przyrody i samoistnie wznosi się nad nią, staje się jej panem:

„Oto, żywioły niegdyś ziemi bogi,
Dziś tron człowieka muszą nieść!"

Dziś przyroda już nam nie panią, lecz otwartą księgą, w którą patrzymy „tak spokojnie, jako w swoją pierś." Tam wszystko znajdziemy, tam winien zwracać się duch ludzki:

„O przyrodo na twojem łonie,
W zwycięzkim hymnie lasów twych,
Zawsze duch ludzki do pracy zapłonie,
Odnajdzie bogów swych!"

Porywająco grzmi ten *hymn przyszłych pokoleń* zatytułowany: „Nieznanym bogom", rozgrzewa zastygłą krew, obumarłe serce silniej bić poczyna i ręka drży do pracy. Pracą i miłością dojdziem do wszystkiego.

„Wszystko już było. Co przyjść może?
Niech nad brzeg tryśnie dziejów męt,
My staniem murem, pierś przy piersi,
Aż twe, wolności, błysną zorze,
A ziemia motyl wzleci z pęt!

Co za szerokie widnokręgi, jak głęboka myśl filozoficzna. Dodawszy do tego cudny język, niezrównaną zdolność nadawania w kilku słowach kolorytu całemu obrazowi i kalejdoskopową barw-

ność tych obrazów, przedstawiających najrozmaitsze a zawsze najwydatniejsze strony życia ludzkiego, dojdziemy do przekonania, że w cyklu „Duch a svet” Vrchlicki doszedł do szczytu poezyi liro-epicznej i musiał przejść do poezyi dramatycznej, poezyi czynu, bo tamta była mu już za mdłą, za ciasną! Przeszedł też, świadczą o tem dwie jego tragedye: „Drahomira” i „Śmierć Odysseja”.

II.

Tragedya „Drahomira” osnuta na tle pierwszych wieków chrześciańśtwa w Czechach.

Pod dwustronnym wpływem ze wschodu, z Bizancyum i z zachodu, od Niemców, chrześciaństwo powoli przedostawało się do Czech. Zmiana wiary, odrzucenie prastarych zwyczajów i tradycyi, a przyjęcie nowych wręcz tamtym przeciwnych, nie może być dziełem jednej chwili. Całe dziesiątki i setki lat na to się składają. Zwykle też pierwsze wieki po urzędowem wprowadzeniu chrześciaństwa bywają okresem rozpacznej walki starych bogów z nowymi.

Tak też było i w Czechach. Latopisiec Kosmas opowiada, że pierwszy z książąt czeskich, który przyjął wiarę chrześciańską był Borzywój z żoną Ludmiłą. Miał ich ochrzcić św. Metodyusz. Było to mniej więcej w roku 873 lub 874.

Prawdopodobnie jednak, powiada znakomity dziejopis czeski Palacky, wypadek ten nie był pierwszym; już około roku 845 znaczna część ludu i wiele znakomitszych rodzin przeszło na chrześcianizm i bez wątpienia, zasady nowej wiary już zą młodu były znane księciu Borzywojowi. Nie stanowi też ów chrzest zupełnej granicy między chrześciaństwem a pogaństwem: po nim wiek cały jeszcze toczyła się zażarta walka między ginącem bałwochwalstwem a zwycięzkimi wyznawcami krzyża. Jednym z najwydatniejszych epizodów tej walki było panowanie Drahomiry, które stanowi treść tragedyi Vrchlickiego, a o którem kronikarze czescy opowiadają, co następuje.

Borzywój z Ludmiłą miał dwóch synów Spitygniewa i Wratysława. Obaj byli chrześcianami i wiele zrobili dla utwierdzenia wiary swej w Czechach.

Po śmierci Spitygniewa objął rządy Wratysław. Pojął on za żonę córkę księcia Lutyków Drahomirę i miał z nią dwóch synów: Wacława i Bolesława. Umierając zostawił tron Wacławowi, którym aż do pełnoletności jego opiekować się miała babka Ludmiła. Lecz Drahomira, pyszna i ambitna kobieta, za pomocą intryg i knowań uchwyciła ster rządów w swoje ręce. Ludmiła spokojnie usunęła się na Fetin. Pomimo to Drahomira, wciąż obawiając się jej, posłała zbirów, którzy zadusili ją w kościele podczas modlitwy. Teraz już mogła być spokojną o swą władzę. Lecz wkrótce Wacław, widząc złe skutki jej rządów, coraz silniej podnoszące głowę pogaństwo, oraz nierozsądne jej postępowanie z Niemcami, sam ujął władzę w swe ręce. Drahomira, podług podania, zginęła pod gruzami tarasu, na którym stała, w czem pobożny kronikarz widział karę Boga za jej uporczywe trzymanie się pogaństwa i zabójstwo Ludmiły i Wacława.

Takie jest mniej więcej tło, na którem Vrchlicki rozwinął swoją tragedyę.

Rzecz rozpoczyna się na Wyszogrodzie.

Grono kapłanów pogańskich z przywódzcą swym Wietruszem, zgłasza się do Drahomiry ze skargą, że z rozkazu Ludmiły wypędzono ich z Kazina, darowanego im przez Drahomirę i prosi o pozwolenie powrotu do ojczyzny. Drahomira odpowiada słowami, dobrze malującemi jej energię:

Rzucać plac boju, zanim bój się zacznie,
Nikt nie ma prawa, książę ani żołnierz,
Lecz obaj winni z odwagą i dumą,
Czekać pokoju lub ostatnich ciosów.

W odpowiedzi na to Wietrusz opowiada o zburzeniu z rozkazu Ludmiły świątyni Swiatowita i wycięciu gaju świętego. To porusza Drahomirę do żywego, gdy wtem daje się słyszeć odgłos dzwonu pogrzebowego.

Wchodzi Ludmiła i oznajmia Drahomirze ostatnią wolę Wratysława, lecz ta wzburzona tylko co usłyszaną z ust Wietrusza nowiną, widzi w jej postępowaniu ciągły fałsz i chytrość i odwołuje się do sejmu.

Być może, prawda, że tak brzmi testament!
Lecz kraju tego prastary obyczaj,
Którego zniszczyć i bóg twój nie zdoła,
Mówi, że w rzeczach władzy wyrokuje,
Postanowienie ostateczne sejmu.

Tam ja wystąpię, jako oskarżyciel,
Tam w majestacie znieważonej matki
Bronić się będę, jak lwica zraniona!
Tam się rozstrzygnie czyją jest korona,
Czyjemi dzieci — i kto je ma chować.

Akt drugi odbywa się również na Wyszogrodzie. Sejm zbiera się. Pyszną jest scena gdy Drahomira waha się, co wybrać dzieci, czy koronę.

Co odpowiedzieć mam — dzieci? korona?
Czem bez mych dzieci jest dla mnie korona?
A bez korony, czem będą mi dzieci?

Wietrusz uspakaja ją. Sejm może jej oddać koronę a zabrać dzieci, lub też i władzę i dzieci jej odda.

Wierz mi, korony
Nikt z głowy, pani, nie zdoła ci zerwać.

Idzie zatem tylko o dzieci. Wietrusz zawiadamia Drahomirę, że sekretnie kazał je odwieźć władycе Palhojowi na Kazin.

Tam są już bezpieczni,
Teraz więc czekaj, co sejm postanowi,
Ty masz swe dzieci—gdy chce, niech ich szuka.

Dzięki zabiegom Wietrusza i wojewody Radsława, ujętego wdziękami Drahomiry, sejm ogłasza Drahomirę księżną, lecz dzieci każe oddać Ludmile na wychowanie. Kapelan na Tetinie, fanatyk religijny, ksiądz Paweł biegnie po nie do komnat Drahomiry. Ta zwraca się do Radsława:

DRAHOMIRA.

Czyś gotów zawsze być moją obroną?

RADSŁAW.

Zawsze, dopóki prawo będzie z tobą.

Tymczasem, wskutek gadatliwości Palhoja, wszyscy dowiadują się, że dzieci odwiezione zostały na Kazin i cisną się do wyjścia, Ludmiła i Paweł by je odebrać, Drahomira aby ich bronić.

Akt trzeci przedstawia Kazin w oblężeniu. Drahomira przybyła pierwsza. Wojsko księdza Pawła szturmuje do zamku. Po długiej walce, w której Drahomira sama zagrzewa swych ludzi, do zamku wdziera się Radsław, który „stojąc jak zawsze, przy prawie”, powstrzymał księdza Pawła, lecz za to sam zdobył Kazin i żąda wydania książąt. Po długiej walce wewnętrznej, dzieci ustępując trzeźwym przedstawieniom Radsława, odchodzą z nim.

Ten pierwszy zawód ze strony dzieci, napełnia Drahomirę głęboką rozpaczą:

Wy odchodzicie? O wielcy bogowie,
Zkąd siły brać, gdy wszystko mnie opuszcza?

(Biegnie za niemi, lecz na progu pada.)

O dzieci moje! dzieci! dzieci moje!

W akcie czwartym Drahomira wzywa Radsława na rozmowę do lasu pod Kazinem i robi mu gorzkie wyrzuty, gdy zaś ten zasłania się prawem, wyrokiem sejmu, po raz pierwszy rzuca energiczną groźbę możnowładztwu:

Ja nie znam panów, ja znam tylko naród,
Znam tylko kraj mój, i wolnym od gwałtów
Magnackich chcę go zostawić mym dzieciom,
Ja wam poburzę te obronne zamki,
Że na Wyszogród tylko, jak na słońce,
Z prochu poglądać będziecie trwożliwie!
Na drzewie państwa, które chcę zbudować,
Wojewodowie — to zgniłe owoce,
Zatem precz z wami!

W tej chwili wpada Wietrusz, donosząc, że schwytano poselstwo Ludmiły do cesarza niemieckiego, w którem ta ostatnia sprzedaje mu Czechy za to, aby odebrał władzę Drahomirze i przywrócił w kraju chrześciaństwo. Drahomira wzburzona odjeżdża na Fetin, aby doraźnie ukarać Ludmiłę. Na przedstawienia Radsława, aby naprzód wysłuchała posłów, odpowiada niezapomnianą dla mężczyzny obelgą, zarzutem tchórzostwa, Wietruszowi zaś każe wrzucić więźniów w bezdenną studnię w Kazinie. Radsław zostawszy sam, po krótkim monologu, odjeżdża na Diewin, dokąd samowolnie zwołał sejm. W jakim celu tam jedzie, wskazują ostatnie jego słowa:

Księżno Drahomiro,
Dzień ten twej władzy snadź będzie ostatnim!

(*D. n.*)

Wspomnienie.

Cicho, uroczo, smętnie, śpią wspomnienia kwiaty
Na dnie serca człowieka, lecz gdy myśl je zbudzi
I w formy ukształtuje, z miejsc lubych i ludzi
Wybiegają jak piosnka z za więziennej kraty.

I widzę z dni ubiegłych stary dwór na górze,
Szmaragdową murawę, dwie lipy urocze,
Tuż obok wonne róże, smętnych brzoz warkocze,
A dalej śnieżne szczyty gór ginących w chmurze.

Tam niegdyś wrzało życie z nadzieją i wiarą,
Witało się każdego słoneczka zaranie,
A młodość upajała złudną szczęścia czarą.

Ku tej więc stronie tylko dopóki tchu stanie,
Tęsknota rwać mnie będzie myślą czy też marą,
Choć tam skonało wszelkie serca ukochanie.

Lutnista.

KSIĄDZ KONSTANTY.

NOWELLA

przez

Ludowika Halévy.

Tłomaczył z francuzkiego

H. K.

(Dokończenie.)

— O! tak, gdyby była ubogą!... ale niestety! nie jest nią!

— Ah! nie... Zresztą, widzisz, mój biedny Janie, jeżeli widok jej boleść ci sprawia, jeśli blizko niej żyć nie możesz; ponieważ przedewszystkiem potrzeba abyś nie cierpiał... jedź, tak, dobrze... jedź sobie... A jednakże...

Stary ksiądz się zamyślił, głowę opuścił na ręce i przez chwil kilka pozostał milczący, a potem mówił dalej:

— A jednak, Janie, czy wiesz o czem ja myślę? Ja często widywałem pannę Bettinę, od jej przybycia do zamku. A więc, zastanawiam się teraz, wtedy nie zwracało to tak dalece mojej uwagi, zdawało mi się zupełnie naturalnem, że interesowano się tobą, ale jednak, ona rozmawiała ze mną zawsze o tobie, tak jest, zawsze o tobie.

— O mnie?

— Tak jest i o twoim ojcu i o twojej matce. Ciekawą była wiedzieć jak ty żyjesz, prosiła mnie abym jej wytłomaczył jakie jest życie wojskowego, prawdziwego żołnierza, miłującego stan swój i sumiennie spełniającego swój obowiązek. To dziwne, od kiedyś mi się zwierzył w mojej głowie massa wspomnień się tłoczy. Tysiące drobnych rzeczy zbliża się, grupuje... Ot naprzykład, pozawczoraj wróciła z Hawru o trzeciej. W godzinę potem już była u mnie. I o tobie natychmiast poczęła mi mówić. Rozpytywała czy pisałeś do mnie, czyś nie był chory, kiedy wrócisz, o której godzinie, czy pułk przez wieś przechodzić będzie.

— Daj pokój, mój ojcze, nie wyszukuj tych wspomnień, nie potrzebne są one.

— I owszem potrzebne... Zdawała się być tak zadowolnioną, tak szczęśliwą nawet, na myśl, że widzieć cię będzie wkrótce! Radowała się na myśl tego obiadu, dzisiejszego wieczora... Miała cię zaprezentować swemu szwagrowi. Z obcych nikogo nie ma w zamku w tej chwili. Kilka razy mi to powtarzała z wyraźnym naciskiem i przypominam sobie jej ostatnie słowa, stała wtedy, ot tu, już na progu: „Będzie nas tylko pięć osób, mówiła do mnie, ksiądz proboszcz i pan Jan, moja siostra, mój szwagier i ja.” I dodała jeszcze, śmiejąc się: „Obiad prawdziwie jak w kółku rodzinnem.” I po tych słowach wyszła, a raczej uciekła prawie... Obiad w kółku rodzinnem! Czy wiesz w co ja poczynam wierzyć, mój Janie? Wiesz ty o tem?

— Nie potrzeba wierzyć w to, mój ojcze, nie potrzeba...

— Mnie się widzi, że ona cię kocha!

— I mnie, na nieszczęście, tak się zdaje!

— I tobie także?

— Kiedym ją opuścił, temu dni dwadzieścia, była tak pomieszana, tak wzruszona! Widziała żem smutny i nieszczęśliwy... Nie chciała pozwolić abym odszedł. Było to w ganku. Musiałem uciec... tak... uciec... Inaczej byłbym przemówił, nie wytrzymał, wszystko jej powiedział!... Przebiegłszy kroków z pięćdziesiąt, stanąłem, spojrzałem za siebie. Ona mnie widzieć już nie mogła. Byłem w zupełnem cieniu. Ale ja ją widziałem, ja!... Ona stała jeszcze, tam, nieruchoma, w balowej sukni, z obnażoną szyją i ramionami, na deszczu, patrząc w stronę gdziem poszedł. Może to tylko szaleństwo z mej strony myśleć, że... Może to było tylko uczucie litości? Ale nie!... to coś innego aniżeli litość, bo wiesz, mój ojcze, co zrobiła ona, nazajutrz rano? Przyszła na terasę, o piątej godzinie, w słotę najokropniejszą, aby widzieć mnie przechodzącego wraz z pułkiem, a tam jeszcze, sposób w jaki pożegnanie mi przesłała... Ah! mój ojcze! mój ojcze!...

— Ależ teraz — mówił biedny proboszcz, zupełnie obałamucony, zupełnie zbity z tropu — ależ teraz, ja już nie rozumiem nic zgoła. Jeżeli ty ją kochasz, Janie ona ciebie kocha...

— Dlatego to właśnie ja muszę wyjechać. Gdyby tylko o mnie chodziło! Gdybym miał pewność, że ona nie dostrzegła mojej miłości, że ta miłość moja i w jej sercu nie rozbudziła tkliwszego uczucia!... pozostałbym!... pozostałbym, choćby dla szczęścia widzenia jej, kochania z daleka, bez nadziei żadnej, jedynie dla samej rozkoszy kochania!... Ale nie, ona zrozumiała dobrze... i nie tylko że mnie nie odstręcza... ale... i to właśnie zmusza mnie abym się oddalił jak najspieszniej...

— Nie! nic nie rozumiem. Wiem ja dobrze moje biedne dziecię, że mówimy o rzeczach w których ja wcale biegły nie jestem... ależ przecie... jesteście oboje dobrzy, mili, młodzi... Ty ją kochasz... ona ciebie... i ty byś nie mógł...

— Ależ jej pieniądze! mój ojcze, jej pieniądze!

— Mniejsza o jej pieniądze! i to jej pieniądze mają być przyczyną?... Czyś ty ją pokochał dla jej pieniędzy?... Chyba pomimo jej pieniędzy. Twoje sumienie, mój Janie, będzie bardzo spokojne pod tym względem, a to wystarcza.

— Nie, to nie wystarcza. Mieć dobrą opinię o sobie samym, to jeszcze nie dosyć, potrzeba koniecznie ażeby tę dobrą opinię i inni podzielali.

— Ah Janie, pomiędzy tymi, którzy cię znają, któż mógłby wątpić o tobie?

— Kto wie?... A potem jest jeszcze rzecz inna oprócz tej kwestyi pieniężnej, rzecz istotna i ważniejsza jeszcze. Ja nie mogę być mężem stosownym dla niej.

— Któż inny byłby godniejszym od ciebie?

— Nie chodzi tu wcale o wyszukiwanie tego co ja wart jestem, ale należy rozważyć czem ona jest, a czem ja jestem, należy się zastanowić jakie powinnoby być jej życie, a jakiem jest moje... Jednego dnia, Paweł, wiesz ojcze, że ma we zwyczaju wyrażać się czasem w sposób bardzo dosadny... ale to nieraz nadaje myśli więcej jasności, szło o nią właśnie... Paweł nic nie podejrzywał... bez tego, bo on jest dobry, nie mówił by w taki sposób. A więc mówił mi: „Jej potrzeba męża któryby do niej całkiem należał, zupełnie do niej, męża któryby nie miał innej myśli, innej troski i zajęcia, jak uczynić z jej życia wieczną fetę, wieczną zabawę, męża nareszcie takiego, któryby jej wszystkiego dawał dosyć za jej pieniądze.” Znasz mnie ojcze... Takim mężem jabym nie był, nie mógłbym być. Jestem żołnierzem i chcę być żołnierzem. Jeżeli obowiązki mego stanu zmuszą mnie kiedy stać garnizonem w jakiejś Alpejskiej dziurze, albo w Algerskiej pustyni, czyż mogę żądać ażeby mi towarzyszyła? Mogęż ją skazać na to życie żony wojskowego, które w rzeczywistości, niczem innem nie jest prawie jak życiem żołnierskiem? Pomyśl o życiu jakie teraz ona prowadzi, o tych zbytkach, o tych zabawach!...

— Prawda — rzekł proboszcz — to ważniejsze jak kwestya pieniędzy.

— Tak ważne, że żadnego wahania się być nie może. Przez tych dni dwadzieścia, sam w obozie, dużo rozmyślałem nad tem wszystkiem, naprawdę o tem tylko myślałem... a tak kochając jak ja ją kocham, potrzeba aby powody były bardzo silne, aby mi wskazały jasno drogę obowiązku. Powinienem wyjechać daleko... bardzo daleko, jak tylko można najdalej. Cierpieć będę strasznie... ale już jej widzieć nie powinienem. Już widzieć jej nie będę!

Jan usunął się na fotel przy kominku, przybity, bezwładny prawie. Stary patrzył na niego i łzy miał w oczach.

— Widzieć cię nieszczęśliwym! moje biedne dziecię! z taką ciężką boleścią, która spadła na ciebie... To nadto okrutne! nadto niesprawiedliwe!

W tej chwili z lekka do drzwi zastukano.

— Ah! — rzekł proboszcz — nie lękaj się, Janie... wnet odprawię...

Ksiądz poszedł ku drzwiom, otworzył i cofnął się jakby przed niespodziewanem zjawiskiem.

Była to Bettina... Natychmiast spostrzegła Jana i idąc wprost do niego:

— Pan tu! — zawołała. — O! jakżem rada!...

Jan powstał... ona trzymała jego obie ręce, zwracając się do proboszcza:

— Przepraszam, księdza proboszcza, żem do niego naprzód się zwróciła... Kochanego proboszcza widziałam wczoraj, a jego już od dwudziestu długich dni nie widziałam, od pewnego wieczora w którym wyszedł od nas smutny i cierpiący.

Zawsze trzymała Jana za ręce. On nie czuł się na siłach uczynić ani ruchu, ani powiedzieć jednego słowa.

— A teraz — ciągnęła Bettina — zdrów że pan jesteś? Nie, nie zupełnie... widzę to... jeszcze smutny. Ah! jakżem dobrze zrobiła żem tu przyszła... Miałam jakby natchnienie. Jednakże, miesza mnie to trochę, nawet bardzo miesza żem pana tu zastała. Zrozumiesz pan to jak się dowiesz o co ja przychodzę prosić księdza proboszcza.

Wypuściła z swych rąk rozpalone ręce Jana zbliżyła się do proboszcza.

— Przyszłam, księżę proboszczu z prośbą ażebyście raczyli wysłuchać mojej spowiedzi... tak jest, mojej spowiedzi... Ale pan ani się waż odchodzić, panie Janie. Odbędę spowiedź publiczną. Będę mówić bardzo chętnie w obecności pańskiej, a nawet, dobrze pomyślawszy o tem, może to daleko lepiej będzie, więc usiądźmy... czy chcecie panowie?

Czuła się pełną zaufania i śmiałości... Miała wprawdzie trochę gorączki, ale tej gorączki, która na polu bitwy, daje żołnierzowi męztwo, heroizm i pogardę niebezpieczeństwa. Wzruszenie

które poruszało serce Bettiny żywiej aniżeli zwykle, było wzruszeniem wzniosłem i szlachetnem. Mówiła sobie:

— Chcę być kochaną! Chcę kochać! Pragnę być szczęśliwą! Chcę żeby i on był szczęśliwy! A ponieważ on nie może mieć tej odwagi, do mnie należy mieć ją za nas dwoje, do mnie należy iść samej z głową podniesioną i sercem spokojnem, za zdobyciem naszej miłości, za zdobyciem naszego szczęścia.

Bettina, od pierwszych słów, najzupełniej księdza i Jana opanowała. Pozwalali jej mówić, pozwalali jej działać. Czuli dobrze, że chwila jest uroczystą, rozumieli, że to co tu zajdzie teraz będzie stanowczem, ostatecznem, niecofnionem, ale co tego ani jeden ani drugi nie był w stanie przewidzieć... Usiedli posłuszni, automatycznie prawie. Czekali, słuchali... Pomiędzy tymi dwoma ludźmi zbiedzonymi, jakby nie swoimi, ona jedna była spokojną... Głosem czystym i wyraźnym tak zaczęła:

— A więc powiem najprzód, księdzu proboszczowi, a to aby zupełnie sumienie jego uspokoić, powiem że jestem tu za wiadomością i przyzwoleniem mego szwagra i siostry. Wiedzą po com tu przyszła, wiedzą co mam powiedzieć i nie tylko wiedzą, ale i pochwalają. A więc teraz, kontent jesteś z tego, księżę proboszczu? Tutaj zaś sprowadza mnie list pański, panie Janie, list w którym donosisz siostrze mojej, że w żaden sposób nie możesz być u nas na obiedzie dziś wieczorem, i że koniecznie zmuszony jesteś wyjechać. Ten list zburzył wszystkie moje zamiary... Bo rzeczywiście, dzisiejszego wieczora, zawsze za pozwoleniem mojej siostry i szwagra, chciałam po obiedzie, zaprowadzić pana do parku, panie Janie, usiąść z panem na ławeczce, byłam tak dziecinna, że już wcześniej obrałam nawet ławeczkę i tam byłabym miała do pana małą przemowę, bardzo przygotowaną, bardzo wystudyowaną, prawie na pamięć wyuczoną, gdyż od czasu pańskiego wyjazdu, o niczem nie myślę więcej tylko o tej mówce. Powtarzam ją sama sobie od rana do nocy. Otóż to zamierzałam uczynić, więc zrozumiesz pan, że ten list... Znalazłam się bardzo zakłopotaną... Zastanowiłam się trochę i powiedziałam sobie, że jeżeli moją mówkę zwrócę do księdza proboszcza, to będzie prawie to samo jakbym ją panu samemu wypowiedziała. Przyszłam więc tutaj i proszę księdza proboszcza, abyś raczył mnie wysłuchać.

— Słucham panią — wyjąknął ksiądz pomieszany.

— Jestem bogatą, księżę proboszczu, jestem bardzo bogatą i mówiąc szczerze, bardzo lubię moje pieniądze, tak, przyznaję, lubię je bardzo! Winnam jem ten zbytek, który mnie otacza i który, ponieważ to ma być spowiedź, wcale przykrym mi nie jest. Mojem tłomaczeniem mogło by być, że jestem bardzo jeszcze młodą, może z wiekiem to przejdzie... ale, nie jest to wcale pewnem, mam jednak inną jeszcze wymówkę, oto, że jeżeli lubię trochę moje pieniądze dla przyjemności jakie dostarczają mi one, lubię je daleko więcej, dla dobra, które mi pozwalają czynić wokoło siebie. Kocham je w sposób egoistyczny, jeżeli chcecie, dla rozkoszy jaką mi sprawia przyjemność rozdawania... Nareszcie, sądzę że mój majątek nie jest bardzo źle umieszczony w mojem ręku. A więc, księżę proboszczu, tak jak wy macie obowiązki duchowe względem waszych parafian, tak ja czuję, że mam obowiązki względem dobrego użycia moich pieniędzy. Zawszem sobie mówiła: chcę ażeby mój mąż był, przedewszystkiem, godnym podziału tym wielkim majątkiem, chcę najprzód mieć zupełną pewność, iż potrafi użyć go dobrze, ze mną, dopóki ja tu będę, a po mnie, jeżeli pierwej z tego świata zejść muszę. I jeszcze mówiłam sobie co innego... Mówiłam sobie: „Ten co ma zostać mężem moim, chcę go kochać koniecznie! A teraz dopiero, księżę proboszczu, zaczyna się prawdziwa spowiedź moja. Jest pewien człowiek który, od dwóch miesięcy, czynił wszystko co tylko mógł, ażeby ukryć przede mną, że mnie kocha... Ale ten człowiek, nie wątpię ani trochę, kocha mnie... Janie, wszak prawda, ty mnie kochasz?

— Tak jest — rzekł Jan cicho, z oczyma spuszczonemi, jak winowajca — kocham!

— Dobrze wiedziałam o tem, ale potrzebowałam usłyszyć to z ust twoich. A teraz, Janie, zaklinam cię, nie mów już ani słowa. Każde słowo twoje byłoby zbytecznem, zmieszałoby mnie, przeszkodziłoby dojść do końca i wypowiedzieć wszystko com sobie ułożyła i chcę koniecznie abyście wysłuchali. Przyrzeknij, że zostaniesz tam, nie ruszając się i nie mówiąc ani słowa.

— Przyrzekam pani.

Bettina traciła powoli pewność siebie, głos jej drżał z lekka. Jednakże mówiła dalej z wesołością już nieco przymuszoną:

— Mój Boże, księżę proboszczu, was nie obwiniam o to co zaszło, ale jednakże jest w tem poczęści i wasza wina.

— Moja wina!

— Ah! nie mówcie nic, księżę proboszczu i wy także. Tak, powtarzam, jest w tem i wasza wina. Jestem pewną, że mówiliście Janowi wiele dobrego o mnie, zanadto wiele. Może bez tego on by i nie pomyślał nawet... A w tymże czasie i mnie mówiliście o nim dużo dobrego, nie nadto, nie, nie, ale zawsze dużo. Więc wtedy, mając w nim tyle ufności, poczęłam na niego zwracać pilniejszą uwagę, badać go i starać się poznać lepiej. Poczęłam go porównywać z tymi wszystkimi, którzy już od roku, prosili o moją rękę. Znalazłam go pod każdym względem o wiele wyższym od każdego. Nareszcie, przyszło do tego, że pewnego dnia a raczej pewnego wieczora... temu trzy tygodnie, wigilią twego wyjazdu, Janie, spostrzegam, że i ja cię kocham... Tak jest, kocham ciebie!... Zaklinam cię, Janie, nie ruszaj się, siedź spokojnie, nie zbliżaj się do mnie. Zdawało mi się, nim przyszłam tutaj, że mam wielki zapas odwagi, a tymczasem, sami to widzicie, już mnie odbiegł ten piękny spokój jaki przedtem miałam. A jednak mam jeszcze niektóre rzeczy do powiedzenia... i to ze wszystkich najważniejsze. Janie, słuchaj mnie dobrze. Nie chcę odpowiedzi wydartej twemu wzruszeniu. Wiem, że mnie kochasz... Jeżeli masz mnie wziąć za żonę, to nie chcę, aby to było tylko z miłości; pragnę ażeby to było i z rozsądku. Podczas tych kilku dni które wyjazd twój poprzedziły, z takim staraniem usiłowałeś mnie unikać, tak usuwałeś się od wszelkiej dłuższej rozmowy, że nie mogłam pokazać ci się taką, jaką jestem w istocie. Może i ja posiadam pewne przymioty których nie znasz jeszcze... Janie, ja wiem czem ty jesteś, wiem dobrze do czego bym się zobowiązywała zostając twoją żoną i będę dla ciebie nietylko żoną czułą i kochającą, ale także kobietą odważną i stałą. Znam całe twoje życie, kochany proboszcz wszystko mi opowiedział. Wiem z jakich powodów zostałeś żołnierzem, wiem jakie obowiązki, jakie ofiary możesz przewidywać w przyszłości... Janie, nie wątp o tem, ja ci nigdy nie będę przeszkodą, nigdy nie będę cię odciągać od żadnego z twych obowiązków, od żadnej ofiary! Gdybym mogła mieć żal jaki do ciebie, to może chyba za myśl taką. O! musiałeś ją mieć, musiałeś! że jabym żądała mieć ciebie zupełnie wolnym i mnie tylko jedynie oddanym, że wymagać będę abyś opuścił stan swój i karyerę. Nigdy! nigdy! pamiętaj to dobrze, o nic podobnego prosić cię nie będę... Jedna młoda dziewczyna z moich znajomych, zrobiła coś takiego idąc zamąż i bardzo źle postąpiła... A ja cię kocham i pragnę mieć cię takim jakim jesteś. I dlatego, że żyjesz inaczej i lepiej, aniżeli ci wszyscy co się o moją rękę ubiegają, ja, zapragnęłam cię mieć za męża. Kochałabym cię mniej, może nie kochałabym wcale, co mi jednak bardzo niepodobnem się zdaje, gdybyś rozpoczął żyć inaczej, tak jak żyją ci których nie chciałam... Kiedy będę mogła iść z tobą pójdę i wszędzie gdzie ty będziesz, tam będzie mój obowiązek, gdzie ty będziesz, tam będzie moje szczęście. A jeżeli nadejdzie dzień taki, że nie będziesz mógł zabrać mnie z sobą, dzień w którym będziesz musiał sam się oddalić, wtedy, Janie, w tym dniu, przyrzekam że będę mężną, ażeby nie odbierać ci twojej odwagi... A teraz, księżę proboszczu, już nie do niego, ale do was się zwracam... żądam abyście wy mnie odpowiedzieli... a nie on. Powiedźcie więc, księżę proboszczu, kapłanie Boży!... jeśli on mnie kocha i czuje żem godna jego, czy słusznem jest, kazać mi tak ciężko odpokutowywać za mój majątek? Powiedźcie... czy nie powinien on... przyjąć mnie za żonę?

— Janie — rzekł poważnie starz ksiądz — weź ją za żonę... to jest twój obowiązek... i to będzie twojem szczęściem!

Jan zbliżył się do Bettiny, w milczeniu ukląkł przed nią, z wielkiego wzruszenia słów nie znajdując, potem wziął ją w objęcia i na jej czole złożył pierwszy pocałunek.

Bettina z lekka się usunęła i jeszcze raz zwracając się do księdza, rzekła nieśmiało:

— Księżę proboszczu, jabym jeszcze o coś chciała was prosić... Chciałabym... chciałabym...

— Co takiego?

— Żebyście i wy mnie pocałowali, księżę proboszczu.

Stary ksiądz mocno rozrzewniony, po ojcowsku uściskał Bettinę, która mówiła:

— Wszak tyle razy powtarzałeś, księżę proboszczu, że Jana uważasz jakby własnego syna to i mnie, nieprawdaż... przyjmiesz niby jak córkę? Będziesz mieć dwoje dzieci, ot i wszystko!

. . . .

W miesiąc potem, dnia 12 września, o południu Bettina w najskromniejszem stroju panny młodej, prowadzona przez szwagra i Pawła de Lavardens, przechodziła nawę kościołka Longuevalu, idąc do wielkiego ołtarza, podczas gdy trębacze 9-go pułku artyleryi konnej, wesołym marszem wstrząsali sklepienie starego gmachu.

Nancy Turner prosiła o zaszczyt akompaniowania na organach podczas uroczystości, a nie był to już mały organek dawny, ale nowy, piękny i świecący, wspaniale rozsiadał się na chórze. Był to podarunek ślubny od miss Bettiny Percival dla księdza Konstantego.

Stary proboszcz mszę odprawił. Jan i Bettina uklękli przed nim na stopniach ołtarza, on, po skończonym obrzędzie ślubnym, dawszy im błogosławieństwo w imieniu kościoła, długo modlił się jeszcze, z wyciągniętemi rękami nad młodą parą, z całej swej duszy wzywając łaski nieba dla swych dwojga dzieci.

Organ tymczasem wyśpiewywał to samo marzenie Szopena, które Bettina grała za pierwszem swojem wstąpieniem do tego małego, wiejskiego kościołka, gdzie miało zostać uświęcone szczęście jej życia.

Tym razem już nie stary proboszcz, lecz młoda dziewczyna się rozpłakała.

KONIEC.

Z ruchu naukowego.

Przesłanie siły mechanicznej na wielkie odległości za pomocą elektryczności. — Akumulator Faure'a. — Welocyped trójkołowy elektryczny. — Statek elektryczny. — Nowa maszyna dynamo-elektryczna sir Wiliama Thompson. — Próby spożytkowania naturalnych sił przyrody. — Badania nad fizyologią zmysłów. — Wycinanie lasów jest powodem powodzi i zmiany klimatów. — Bielenie dyamentów.

(Dokończenie.)

W Ameryce zajmują się nadzwyczaj możnością spożytkowania sił naturalnych tak licznych w przyrodzie a przedewszyskiem siły spadku Niagary. Według obliczeń biura geometrycznego Stanów Zjednoczonych, wypada, że ilość wody spadającej w ciągu minuty wynosi 285,000 metrów sześciennych, przyjmując więc, że wysokość spadku wynosi 61 metrów, wypadnie, że wodospad Niagary przedstawia siłę 3.000,000 koni. Ale nietylko to źródło siły może stać się motorem maszyn dynamo-elektrycznych, ale wszystkie prądy rzek, spadki potoków górskich i wiele innych sił naturalnych mogą służyć ku temu celowi.

I na polu fizyologicznem uczeni pracują niezmordowanie, a te ich prace i badania coraz nowe wydają plony.

Fizyolog niemiecki Urbanczyc, badając fizyologię zmysłów, przekonał się, iż jeźli długo bardzo zasłuchamy się w ton jednakowego natężenia, to nie ciągle jednakowo działać on będzie na nasze nerwy słuchowe. Pomimo, że ilość fal powietrznych i ich natężenie będą zawsze jednakowo mocne, ton wydawać nam się będzie już to głośniejszy już słabszy, już wyższy, już niższy, a nawet chwilami zupełnie nie będziemy go słyszeć. Każdy może przekonać się o tem, stawiając zegar w pewnej od ucha odległości, lub też kładąc zegarek kieszonkowy, którego chód jest regularny, jednostajny i nie głośny. Jeźli oba uszy słyszą jednakowo, wsłuchując się w bieg jego sprawdzi, iż w pewnych momentach będzie go słyszeć doskonale, w innych tylko jakby jakiś szmer nieregularny i przerywany, a czasami nawet zupełnie nic słyszeć nie będzie.

Podobne doświadczenie można także zrobić z kamertonem ustawionym w ten sposób, aby głos wydobyty z widełek dochodził do obu naszych organów słuchowych za pośrednictwem dwóch oddzielnych rurek; zobaczymy wtedy, że każde ucho słyszy oddzielnie i jeźli tylko jednakowo są wraźliwe, ton w obu jest początkowo jeden, tak co do wysokości jak co do siły. Po pewnej wprawie dojdziemy do słyszenia jednego tylko głosu, tak zleją się z sobą oba identyczne tony. Jeźli teraz zaczniemy dobywać z kamertonu coraz słabsze ale nieustające dźwięki — znowu rozdzieli się wrażenie nasze słuchowe i głos wpadający w lewe ucho będzie różny od słyszanego przez prawe — to głośniejszy to znów cichszy. Zmiany takie powtarzają się niezmiennie i wychodzą na pewien rodzaj stałej oscylacyi głosu, w ciągu której zdarzają się chwile w których odbierane przez oba uszy wrażenia słuchowe są jednakowej siły, a niekiedy znów takie w których jedno ucho będzie a drugie nie będzie słyszało kamertonu, lub nareszcie takie w których oba uszy nic nie słyszą.

Zmiany te trwają niejednakowo długo i przejścia z jednej do drugiej są nierówne, to szybkie i gwałtowne, to stopniowe i powolne, tak jak gdyby głos stopniowo przycichał w głowie i przechodził od jednego do drugiego ucha. Według Urbanczyca różnice te spowodowane są głównie zmianami we wrażliwości nerwu słuchowego i funkcyach części mózgu odbierającej te wrażenia i przekazującej je do naszej samowiedzy. Za prawdopodobieństwem tego przypuszczenia przemawia już to samo, że oscylacyom słuchowym odpowiadają obserwowane przez tegoż fizyologa oscylacye wzrokowe.

Jeźli punkt jakiś, *szczególniej słabo świecący*, umieścimy w pewnej wypróbowanej od oczu odległości, wtedy raz zamiast jednego punktu będziemy widzieć dwa to znów jeden, a chwilami pomimo uwagi i wytężenia wzroku, nic widzieć nie będziemy, jeźli tylko światło jest dostatecznie słabe. Doświadczenia te sprawdzane na wielu osobach zawsze dawały rezultaty, zkąd wnosić należy, że działanie nerwów naszych odbierających wrażenia zmysłowe, nie jest jednostajne i podlega ciągłym wahaniom, najzupełniej niezależnym od naszej woli.

Fizyolog Ramsay oddał się znów badaniom nad zmysłem powonienia, najmniej dotąd zbadanym naukowo i przekonał się między innemi, że nerwy rozmieszczone wewnątrz nosa, są zupełnie nieczułe na działanie płynów i ulegają jedynie działaniu ciał lotnych. Jeźli nalejemy sobie w nozdrza jakiegoś pachnidła a następnie zatkamy je szczelnie aby parowanie miejsca mieć nie mogło, nie uczujemy żadnego wrażenia; objawi się ono dopiero wtedy, gdy perfumy wydalimy na zewnątrz i gdy zaczną parować drobne resztki płynu, które przylgnęły do ścian nosa. Uczony fizyolog doszedł w dalszym ciągu prac swoich, że wrażenia powonienia zależą od drgań, którym ulegają unoszące się w gazach cząstki materyi woniejącej. Drgania te rozmaite są co do liczby fal dla różnego rodzaju zapachów i dają się ułożyć w pewien rodzaj gamy; lecz jakim ulegają prawom, czy przy pewnych warunkach jeden zapach nie będzie mógł wywierać wrażeń innym zapachom właściwych, jeszcze nauka zbadać nie zdołała.

Rozmaite podają powody strasznych burz, zmian klimatycznych i powodzi szerzących tak okropne klęski w różnych krajach europejskich; przytaczamy co o tem pisze „Gazeta Kolońska" jako zdanie nader uzasadnione i podzielane przez znakomitych uczonych.

Nie ulega wątpliwości, że dokonywane w ostatnich lat dziesiątkach wycinanie lasów na olbrzymie rozmiary, do tego stopnia pogorszyło ogólne stosunki klimatyczne, iż żaden prawie kraj w Europie nie jest obecnie zabezpieczony przed wylewem rzek. I jeźli się temu nie zapobieży, klęski ciągle zwiększać się będą, albowiem każda droga żelazna, każda regulacya rzek lub nowe kanały, ułatwiają odstawę i odbyt na drzewo, przyczyniają się tem samem do wycinania lasów, a tępienie ich tylko międzynarodowe prawodawstwo, przyjęte przez wszystkie państwa europejskie, mogłoby przeszkodzić. Skoro chodzi o dobro ogółu, pewne naruszenie praw prywatnych jest najzupełniej usprawiedliwione. Wszak i górnictwo i prawo użytkowania z wód, podlega niemal wszędzie pewnym ograniczeniom, tak zarówno podlegać mu winny lasy, które przy odpowiedniem gospodarstwie stają się regulatorem klimatu i hamulcem fal rzecznych. Gdyby wszystkie państwa europejskie porozumiały się i zaprowadziły jednostajne prawa regulujące prawidłową eksploatacyę lasów i powstrzymujące dowolne ich tępienie, błogie skutki praw takich niebawem zbawienne wydałyby owoce, inaczej doliny rzek stopniowo wyludniać się będą a rolnictwo wystawione będzie nieustannie na niepowetowane straty.

A teraz jeszcze przestroga dla kupujących brylanty.

Wiadomo, że najcenniejszym przymiotem tych klejnotów jest czystość ich wody. Otóż kopalnie dyamentów w Afryce południowej, które od czasu odkrycia ich dały światu niezliczoną ilość tych drogocennych klejnotów, dostarczają przeważnie dyamentów żółtawych, co kamieniom tym odnośnie do czystej ich wody i równej wagi, odejmuje pięć szóstych ich wartości. Przed niedawnym czasem rozeszła się pogłoska, że wynaleziono sposób odbarwiania dyamentów, i w rzeczywistości jest to prawdą tylko, niestety! dość jest je obmyć aby żółtą barwę przywrócić. Było to nawet powodem kilku procesów. Według pp. Chatain i Jacobs, to wynalezienie sposobu wybielania dyamentów nie przyniesie żadnego uszczerbu interesom handlu ani też posiadaczom tych klejnotów, a ważność jego zasadza się jedynie na stosunku odkrycia tego odnośnie do teoryi barw. Operacya odbarwienia zasadza się na zanurzeniu żółtawego kamienia w jakimśkolwiek roztworze dopełniającej go barwy, z którego wyjęty będzie zupełnie biały. Dość lekkiej powłoki fijołkowej, aby nadać najczystszą białość najżółtszym dyamentom, co nie odejmie im bynajmniej ani przezroczystości ani blasku, lecz jak powiedzieliśmy sposób tak jest nietrwały, iż dość wymyć kamień, aby pierwotny odzyskał kolor.

J. B.

POGADANKA.

Jak tu zacząć pierwszą wielkopostną pogadankę? Jaki jej nadać ton ogólny, w kwiaty ją stroić jeszcze karnawałowe czyli też wypisać na czele brzemienne myślą słowa: „pomnij że z prochuś powstał i w proch się obrócisz?"

Ostatnie chwile karnawału tyle przyniosły wrażeń, tyle nasuwają na myśl wspomnień świeżych jeszcze, że chyba dam tym razem pokój wielkopostnym medytacyom. Szeregując w myśli najważniejsze fakta z dni ostatnich mimowoli przypomniałem sobie słowa Pługa:

„— O czem gwarzyć? O czem chcecie,
Toż nam treści nie brak przecie...
Byle tylko mój sąsiedzie,
Nie o troskach, nie o biedzie,
Nie o morze, nie o głodzie,
Małych zbiorach, lichym wschodzie,
I tak dalej i tak dalej,
Czem ziemianin rad się żali.

Skarg zaniechać raz już trzeba,
Zdać się Bogu w mocnej wierze,
Gdyś zaorał, zasiał szczerze,
To już reszty czekaj z nieba,
Co nie zeszło na jesieni,
To się z wiosną zazieleni."

Śliczny wiersz, lecz co prawda ostatnie jego słowa wypowiadają myśl nie zbyt dobrą, jest w nich jakby powtórzenie znanej u nas piosnki *jakoś to będzie*.

Zdanie to dawne, a jednak niezupełnie godziwe. Szczęściem nie każdy się go trzyma. Wielu, bardzo wielu pracuje z energią, której zawierzyć można zupełnie. Ustęp wszakże powyższy ma tę wartość, że illustruje zapatrywanie wielu—gawędźmy, lecz nie poruszajmy trosk i biedy.

A jednak tak nam czynić nie godzi się. Bawmy się wesoło, chwalmy co dobre, o pożytecznem nie zapominajmy, lecz nie wahajmy się również mówić i o tem co jest błędnem i winno być sprostowanem. Tą drogą dojdziemy do prawdy, a ta powinna być gwiazdą każdej naszej czynności.

Bawiliśmy się w karnawale, tém lepiej, byle zabawa nie przeszła w szał bezmyślny. Zabawa ludzi gromadzi, daje im sposobność poznawać się wzajemnie, a to jest zawsze pożyteczne.

Taki cel miał np. bal litracko-artystyczny. Skupił on sfery zawodem do siebie zbliżone i jak ktoś dowcipnie wyraził się, puściła się krytyka ze sztuką w tany. I bawiono się ochoczo! wesoło do szóstej z rana. Zabawa była w całem tego wyrazu znaczeniu świetna.

Kiedym opuścił salę balową było jeszcze ciemno. Na ulicach cicho, senno i spokojnie. Zbliżyłem się do placu za Żelazną bramą. W kramach rzeźniczych było światło. Przy jego czerwonym blasku widzieć było można tysiące sztuk mięsa — rzeźnicy robili przygotowania do wczesnego targu. Fantazya rozpalona atmosferą balu dotknęła się rzeczywistości. Zabawa i praca, użycie i życie stanęły milcząco naprzeciw siebie. Zastanowiłem się chwilę.

Czy te kontrasty mają z sobą walczyć?

Nie! To tylko światło i cień jednego i tego samego przedmiotu — życia.

Myśl moja zwróciła się ku biednym. Patrząc na tę ogromną masę nagromadzonego pokarmu najpożywniejszego, pomyślałem, że przecie ona za małą jest dla nakarmienia wszystkich. Wieluż to wielu, jest biednych i głodnych.

W tej chwili nie oddzielałem biedy materyalnej od moralnej, a jednak nie wątpiłem, że przyjdzie czas, kiedy się jednej i drugiej położy tamę. Tyle spotykamy co dnia faktów pocieszających! Co chwila niemal powstaje nowy projekt, część projektów przeobleka się w czyn i nie można inaczej powiedzieć, jak tylko, że idziemy ku lepszemu.

Nie zliczyłbym tu wszystkiego, ale dla dowodu choćby kilka przykładów.

Wszystkie bale publiczne na cele dobroczynne są przepełnione, z tych oba na wpisy dla niezamożnych studentów istotnie świetne okazały rezultaty.

Małżonkowie Branstein złożyli *dwadzieścia tysięcy* rubli, od których odsetki będą służyły na wpisy dla uczni szkoły realnej.

W Warszawie rozpoczną się wkrótce odczyty popularne dla rzemieślników.

Od nowego roku istnieje szkoła niedzielna dla rękodzielników w Działoszynie.

Spadkobiercy Kramsta ofiarowali *tysiąc korcy* węgla dla ubogich miasta Warszawy.

Rubryki składek na cele dobroczynne nie świecą nigdy pustkami.

Czyż tego jeszcze mało!

A dodajmy, że na polu gospodarstwa i przemysłu także zawsze coś nowego mamy do zanotowania, to objawy te dają wcale miły obraz.

W połowie b. m. zostanie w Warszawie otwarty bank zbożowy, jedna z tych instytucyi, które ogrome powinna przynosić korzyści.

Zjazd górników obradował nad sprawami, które mają dla nas ogromną wartość, bo górnictwo wiele pozostawiało dotąd do życzenia. Jest niemal pewność, że wkrótce powstaną nowe szkoły górnicze.

Sprawa krajowego jedwabnictwa na nowo została poruszoną, jest nadzieja, że liczne głosy w tej kwestyi nie pozostaną bez skutku. Tu tylko zanotować musimy, że wszelkie dotychczasowe usiłowania rozbijały się o niedbalstwo wielu i brak poczucia ważności sprawy.

Wszystko to tylko część tego co się robi. Nie mało jeszcze do zrobienia pozostaje, wszędzie trzeba siły i wytrwałości.

Jednem z najważniejszych pól jest oświata ludowa. Odłogów tu jeszcze niestety bardzo wiele. Niepodobna wszystkiemu zaradzić odrazu, ale nie powinno się ani sekundy tracić na próżno. Co dnia niemal czytamy o zbrodniach i występkach, których źródłem ciemnota. Niedawno stawiano przed sądem podpalacza mającego lat *dziesięć!* Straszne to. Malca skazano na karę domową. Trudnoż go traktować jak zbrodniarza...

Tu żywo nam staje w pamięci głęboki wiersz Konopnickiej „Przed sądem".

Jej idealny sędzia wnika głęboko w zadanie ludzkości, zna on je, odczuwa i:

„Wiedział, że tłum ten, to siła stracona,
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości..."

A przyczyna?

Ciemnota i zawsze tylko ona. To też poetka każe wyrzec wyrok:

„Pójdź dziecię ja cię uczyć każę."

Jednym z doskonałych czynników w tej misyi są wydawnictwa dzieł ludowych. Poznańskie i Galicya obfitują w nie. W Galicyi za wzór by postawić należało niektóre wydawnictwa rusińskie. Rozchodzą się one nieraz w liczbie przewyższającej *dziesięć tysięcy*. Cyfra ta sama przez się wymowna. Wydawnictwa komitetu sejmowego, polskie i rusińskie są wyborne a zyskują coraz to większy pokup, a tem samem rozpowszechnienie.

Tylko „Macierz polska" drzemie fatalnie. W stosunku do środków jakiemi rozporządza, działa niesłychanie mało. Kilka zaledwie wydała książeczek, a te nie odznaczają się bynajmniej wielką wartością.

Szkoda czasu, który się nie wraca.

Galicya dziś chyba o niczem innem nie myśli, jak tylko o rocznicy odsieczy wiedeńskiej. Coraz to nowe układają plany, ażeby dzień ten uświetnić. Chcą ową wielką chwilę zwycięztwa, wskrzesić we wspomnieniach wszystkich. Podobno będą nawet urządzone oddziały dawnej kawaleryi w strojach i zbroi najwierniej podług wzorów autentycznych wykonanych.

W Wiedniu już się nawet odbył pochód historyczny przedstawiający zwycięztwo króla Jana. Układ artystyczny sprawił ogromne wrażenie. Grupy ściśle polskie układali nasi artyści z poczuciem piękna i znajomością przedmiotu. Słowem dzień dwuchsetletniej rocznicy będzie uroczystością, która długo pozostanie w pamięci.

Tymczasem sztuka polska odnosi tryumfy za granicą. Na międzynarodowej wystawie dzieł sztuki w Rzymie wywołał „Hołd pruski" Matejki ogromne wrażenie. Hiszpański malarz Padilla, artysta pierwszorzędny, oddał dziełu naszego mistrza cześć niezwykłą.

Wiadomo, że na obrazie, po lewej stronie zrobił Matejko swój własny portret. Padilla zbliżył się ze czcią do tej postaci i... ucałował malowidło w rękę!

Inni artyści chcąc dać dowód jak wysoko cenią to dzieło, zabrali swe płótna z sali, w której się „Hołd pruski" znajduje.

Jeszcze jedno. Rzecz dla naszych czytelniczek bardzo ciekawa.

Pewna pierwszorzędna firma francuzka zażądała od warszawskiego fotografa Mieczkowskiego *10,000* egzemplarzy najpierwszych piękności polskich! Dowód to, że cenią wartość fotografii tego zakładu, lecz jeszcze większy, jak pragną rozpowszechnić u siebie wizerunki słynnych polskich piękności! Francuzi są entuzyastami, nad pięknością się unoszą, a o Polkach mają jak najlepsze pojęcie, fotografie, których żądają utwierdzą ich w tem.

Do wspomnień o minionym karnawale dołączcie i to z prawdziwą przyjemnością...

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dr. A. Schaeffle. Kwintesencya socyalizmu, przełożył z ósmego niemieckiego wydania Henryk Konitz kand. prawa. Warszawa, 1882 r. nakład Lesmana i Świszczowskiego.

Idee wypowiedziane przez D-ra Schaeffle w powyższej pracy, prostują pod wielu względami pojęcia o doktrynach socyalistycznych. Mimo tego jednak uważamy, że jak w tej broszurze socyalizm jest przedstawiony, to dąży do jak największego umoralnienia ludzkości, ujednostajnienia potrzeb i wykorzenienia chęci zysku dającego się wyciągnąć z pracy. Wszystko to jednak są tylko mrzonki, których urzeczywistnienie jest niemożebnem, albowiem gdyby tak być mogło, to wszyscy ludzie bez wyjątku *musieliby* być co najmniej *magistrami filozofii* a i wtedy jeszcze, nie działoby się tak, jak idea socyalizmu głoszona przez D-ra Schaefflego, wymaga.

Z tem wszystkiem, rzecz cała napisana jest gruntownie, aczkolwiek niewyczerpująco, czyta się z zajęciem dając wiele do myślenia, a nadto przyznać należy, że tłomaczenie jest wyborne.

Podajemy o powyższej pracy wiadomość, jedynie dlatego, aby i nasze Czytelniczki chcąc się zapoznać z zasadami socyalizmu, o tychże dowiedzieć się mogły z czystego źródła a nie ze studni pełnej mętów i pojęć przesiąkłych nie ideą socyalną *społeczną* lecz krańcowego *komunizmu*. Możemy nie zgadzać się z zasadami głoszonemi przez D-ra Schaeffla jednak niepodobna abyśmy w wielu razach słuszności im nie przyznali. Socyalizm właściwy znany jest w świecie już od dawna i największym z socyalistów nawet dzisiejszych był *Chrystus!* Dlatego też nauka jaką głosił była po-

tępioną przez faryzeuszów, dlatego też poniósł śmierć męczeńską na krzyżu.

Nauka Chrystusa była i jest kwintesencyą socyalizmu, bo oparta na wzajemnej miłości bliźniego, na równości praw i jedności wszystkich tych którzy naukę jego wyznają. Doktryny więc głoszone przez nowożytnych socyalistów nie są wcale nowością. Przybrały one tylko inny charakter od chwili w której pojęcia socyalne pomieszano z ideą skrajnego komunizmu. Nie ulega wątpliwości, że kwestya socyalizmu długo jeszcze przeprowadzić się nie da, lecz mimo tego, wątpliwości nie ulega, że kiedyś stanie się faktem spełnionym, a mianowicie wtedy, gdy nie poddając się zgubnym wpływom haseł, przypuszczeń, namiętności, przesądów, okłamywania się, denuncyacyi (str. 67) postępować będziemy „wszyscy” tak jak to nas uczy Chrystus.

Chmielowski Piotr. Poezya w wychowaniu. Wilno, wydawnictwo Orzeszkowej, str. 42.

Słusznie twierdzi autor we wstępie do powyższej pracy, że *dzisiejsze czasy nie sprzyjają poezyi*, pomimo tego jednak usiłuje on udowodnić i przekonać, że bez poezyi w wychowaniu nic zdziałać nie można, bo nawet wychowanie najrealniejsze odarte z wszelkiego uroku ma w sobie zalążek poezyi. Poezya czyli sztuka wogóle uszlachetnia człowieka. Praca p. Chmielowskiego, aczkolwiek drobna rozmiarami, zawiera w sobie tyle pięknych i szlachetnych myśli pedagogicznych, tyle ciepła i serdeczności, że nie możemy powstrzymać się od gorącego polecenia jej naszym Czytelniczkom. Wskazówki wedle których przy wychowaniu młodzieży postępować należy, jakie utwory poetyckie dawać jej do czytania i nauki, są nieocenione, tymbardziej, że autor trzymał się zasady: „lepiej czytać mało a dobrze, niż wiele a źle.”

Synoradzki Michał Halina. 1) „Hanka Czarownica”, powieść z końca XVIII wieku, str. 293.

2) „Konkury pana Podkomorzyca”, powieść z podań szlacheckich, str. 272.

3) „Sąsiad z Ruszczyc”, powieść z podań szlacheckich XVIII wieku, str. 288.

3) „Kneźna Milica”, powieść, str. 265.

Mamy przed sobą cztery powieści, nakreślone drukiem ogłoszone w ciągu roku jednego, powieści nad któremi mimo chęci i woli zastanowić się musimy, stawiając na czele pytanie, co za cel miał p. Synoradzki pisząc to wszystko?

Nadto czy p. Synoradzki zastanowił się nad tem co i jak pisze i czy po napisaniu przeczytał swe prace?

Wedle tego co mamy przed sobą, sądzimy, że nie, bo gdyby się był zastanowił to 1-mo takich bezeceństw, nonsensów i fałszów dziejowych i społecznych nie byłby drukiem ogłaszał, ani też nie byłby je poświęcał Kraszewskiemu i Jeżowi, a 2-o byłby niewątpliwie przyszedł do tego przekonania, że chcąc pisać trzeba znać język jakim się pisze i że nie można takich dopuszczać się herezyi jakich p. S. się dopuścił.

Weźmy np. „Hankę Czarownicę, ileż tam znajdziemy zagadek językowych, ileż zwrotów nigdzie spotkać się niedających, ileż niezgrabnych porównań i t. d. Idźmy dalej, panu S. nie dosyć tego było, lecz mieszkańcowi okolic Zakroczymia każe mówić językiem jakim chyba nikt na świecie nie mówi! Bo to ani po małorusku ani po rosyjsku a tem mniej i polsku (str. 176 — 182). Fabuła tych wszystkich pseudo powieści osnuta prawie na jednym i tym samym, snać ulubionym temacie autora, opiewa zbeszczeszczenie kobiety, orgie i pijaństwo szlachty i nie szlachty, bójki, morderstwa, porwania, fałszerstwa i t. d. Czyż p. Synoradzki innych tematów do swoich utworów nie mógł znaleźć? Czyż chce być polskim Bornem lub też pragnie naśladować Sacher-Masocha i Franzosa? W utworach p. S. przebija się pewien talent powieścio pisarski, lecz cóż z tego kiedy dar ten Boży powiódł go na manowce, z których podobno już mu trudno wydobyć się będzie.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** W drugiej połowie z. m. odbyło sie w Krakowie posiedzenie Rady miejskiej, na którem komissya jubileuszowa 200 letniej rocznicy odsieczy Wiednia złożyła sprawozdanie ze swych czynności, program uroczystości, przypuszczalne jej koszta, gdyż potrzebne na ten cel fundusze muszą być zamieszczone w budżecie miasta na rok 1883. Sprawozdawca komisyi profesor Bobrzyński, przedstawił wymownie że odsiecz Wiednia nie jest faktem odosobionym, ale jednem z ogniw wielkiego łańcucha bohaterskich czynów cechujących historyę naszą od bitwy pod Warną, a których zadaniem było zasłaniać Europę od najazdu wschodnich barbarzyńców. Byliśmy zawsze przedmurzem Europy, jako obrońcy chrześciaństwa poszlimy pod Wiedeń, i tam zadaliśmy tak silny cios przewadze tureckiej, iż już nigdy nie wróciła. Należy więc obchodzić ją uroczyście, w szerszych niż zwykle rozmiarach, aby ją upamiętnić nie tylko współczesnym ale i w potomności.

Oto zatwierdzony przez Radę miejską program uroczystości mających kosztować około 20,000 złr. Dnia 11 września, jako w przeddzień uroczystości, nastąpi otwarcie wystawy zabytków z czasów Jana III, a wieczorem przedstawienie patryotycznej sztuki ludowej. D. 12 września: *a.* processya z kościoła na Piaskach do katedry na Wawelu; *b.* uroczyste odsłonienie płaskorzeźby pamiątkowej na kościele Panny Maryi; *c.* wieczorem illuminacya. Nadto przez oba dni rozdawane będą młodzieży szkolnej i ludowi książeczki pamiątkowe, zawierajace dwa arkusze druku, portret króla Jana III oraz treściwy i popularny opis odsieczy Wiedeńskiej.

Wykonanie tablicy pamiątkowej powierzono rzeźbiarzowi naszemu Wełońskiemu; koszt obliczono na 9,000 złr. Według nadesłanego przez artystę szkicu, będzie to płaskorzeźba wykonana z bronzu, wysokości 3 metry 30 cent. (przeszło 6 łokci) szerokości 1 metr 80 cent. (blizko 3 łok.) Tło płaskorzeźby stanowi widok Wiednia z wieży św. Szczepana. Na pierwszym planie w środku, Jan Sobieski na koniu z polskim proporcem w ręku, za nim hussarze, a pod nogami konia wije się obnażony Turek. Na prawo przed koniem króla siedząca *Sława*, w jednej ręce trzyma wieniec laurowy, drugą spisuje na tablicy świetne czyny. U spodu allegoryczna postać Dunaju. Figury główne, mianowicie króla i Sławy mają 1 metr 50 cent. wysokości (przeszło 2 łokcie) cała kompozycya trzymana w stylu z XVII wieku.

Szkic obramowania z kamienia, pomysłu p. Zaręby, wykonany jest w stylu odrodzenia z jonickiemi kolumnami, podtrzymującemi odpowiedni fryz i gzyms. Wysokość całego pomnika z obramowaniem i piedestałami, między któremi umieszczona będzie tablica z napisem, wynosić będzie 7 metrów, szerokość 3, 15 metra.

*** W Wiedniu, odbył się 27 stycznia w salonach „Musikverein'n” *bal historyczno kostiumowy artystów na tle odsieczy Wiednia.* Tak pojedyńcze postacie jako też całe grupy i korwody, przedstawiały historyczne osobistości, epizody i sceny z oblężenia Wiednia przez Turków 1683 r. Wkraczający do sali pochód Turków, zgodnie z historyą, poprzedzała kapella i tańczący derwisze, wezyra Kara Mustafę niesiono w lektyce, po za którą maszerowali janczarowie niosąc chorągiew Proroka, dalej ukazał się harem. Po za tą grupą postępował burmistrz Wiednia Liedenberg w gronie Radzców miejskich i nareszcie hr. Staremberg, na czele wojska austryackiego. Wejściu odsieczy towarzyszyły staro-wiedeńskie piosenki. Wspaniale przedstawiło się wejście Jana Sobieskiego, któremu towarzyszył syn, książę Jakób, poczet panów polskich i Kulczycki. Za nimi maszerowali husarze z długiemi lancami, w pancerzach ze krzydłami i polska lekka kawalerya. Za ich ukazaniem się zagrzmiało głośne powszechne: bravo! Cała grupa polska przedstawiła się świetnie. Pochód zakończało wojsko niemieckie i bawarskie. Defilując przed arcyksiążętami: Karolem Ludwikiem, Reinerem, Ludwikiem Wiktorem, Eugeniuszem, Ottonem, Polacy zawołali jednogłośnie: „W Imię Boże!”

*** Jedno z pism wiedeńskich radzi ministrowi skarbu, aby rozpatrzył projekt podany przez kółko pań w Wiedniu, a odnoszący się do nałożenia podatku na kawalerów. Oto projekt nowej ustawy. § 1. Każdy kto nie ożeni się z ukończeniem lat 30, ma podlegać podatkowi i być wykazanym w spisie, wywieszonym w urzędzie podatkowym, tak aby mogła go przejrzeć każda panna czy wdowa chcąca wyzwolić takiego kawalera od podatku: przed ślubem obowiązana będzie złożyć jako wykupne oznaczoną summę na rzecz skarbu państwa. § 2. Kawaler opodatkowany wtedy tylko może uzyskać pozwolenie na ożenienie, jeźli podatek dochodowy od majątku narzeczonej wynosi dwa razy tyle co podatek kawalerski, a to z tej przyczyny, aby opodatkowani kawalerowie nie żenili się byle z kim, jedynie dla wyrządzenia uszczerbku w dochodach skarbu. § 3. Szczególniej czuwać mają władze podatkowe nad kawalerami 40 letniemi, gdyż doświadczenie uczy, że w tym wieku są oni najskłonniejsi do wybryków niebezpiecznych dla skarbu. § 4. Gdy kawalerowie skończą lat 50, nie ma potrzeby zbyt czujny nad nimi rozciągać nadzór, albowiem w tym wieku są zazwyczaj, jak to sprawdza doświadczenie, tacy marudni i zgryźliwi, iż trudno prawie przypuszczać możliwości znalezienia żony. § 5. Strzedz bacznie tak zwanych *dzikich małżeństw*, albowiem opodatkowani zostający w podobnych stosunkach, zniewoleni natarczywością odnośnych niewiast, często mogliby uchylać się od uiszczania podatków. § 6. Ktoby hołdował uporczywie zasadom dzikich małżeństw, ma być przesiedlony do Bośni i Hercegowiny, gdzie zniewolony zostanie na ożenienie się według praw Mahometa z 5 do 10 żonami, zaostrzone 5 do 10 świekrami i do ponoszenia kłopotów stanu małżeńskiego.

*** *Kto chce zostać księciem?* Zawiadamia się niniejszem wszech obec i każdego z osobna, że w sądzie w Orvieto sprzedanem zostanie przez publiczną licytacyę księstwo Parrano. W warunkach licytacyjnych podane jest wyraźnie: że do

własności tej przywiązany jest tytuł księcia, prawnie przysługujący nabywcy.

*** Pan Marcelli Deprez wynalazł motor elektryczny do poruszania maszyn do szycia. Cały przyrząd ma 16 centymetrów długości a 11 szerokości i z łatwością porusza każdą tak zwaną ręczną maszynę do szycia. Motor może stać na stole obok maszyny, elementa gdziekolwiek w mieszkaniu umieszczone być mogą. Zdaje się że też same motory dałyby się zastosować i do maszyn poruszanych nogami, a więc jeźli tylko cena przyrządu nie jest wysoką, można rokować mu ogólne rozpowszechnienie. Ileż to biednych pracownic błogosławiłoby wynalazcę, któremu zawdzięczałyby zachowanie sił i zdrowia jakich ich pozbawiają tak zwane „nożne maszyny” używane w większych szwalniach.

*** Pewien dowcipny fabrykant kapeluszy, wyzyskał dowcipnie na swoją korzyść manifest ks. Napoleona, i przekręcając go rozlepił po rogach ulic następujące ogłoszenie:

„Manifest do moich współobywateli.

„Kapelusznicza sztuka znika! Niektórzy z cierpiących na newralgię oburzają się; większość narodu nabiera wstrętu do kapeluszy. Bez ufności w teraźniejszość, oczekuje ona lepszej przyszłości, gdy deszcz padać przestanie! Obiecywano wam elegancką, lekką formę kapeluszy — kłamliwe obietnice — wszystkie żadnych nie pociągnęły następstw! Nie macie już kapelusznika!

„Wyzyskiwać kundmanów, znaczy to głowy ich zostawiać bez nakrycia... Pieniądze wasze szły na marne. Potomek wielkiego imienia (Réné Pinceau) jestem jedynym człowiekiem we Francyi, którego miano zjednało sobie 7,300,000 kundmanów.

„Milczeliście od dnia 1 kwietnia 1882 r. w którym wydałem odezwę do ludzi dobrego gustu. Zmartwiony czekałem aż wypadki przypuszczą mnie do głosu. Bezczynny, przypatrywałem się bezowocnym usiłowaniom moich współzawodników — mówiono o mojem wyrzeczeniu się interesu — tego nigdy nie będzie'!!

„Precz z wątpliwościami! Zasadą moją jest prawo ludu do przykrywania głowy, gdy zimno. Zaprzeczać temu prawu, jest to knuć zamach za zwierzchnie prawa narodu.

„Francuzi! pamiętajcie na słowa: „Największym dnia czynem jest kapelusz Réné Pinceau, ulica Richelieu 94. Cena nie do uwierzenia nizka: 18 franków.

„Nakrywać głowę innym kapeluszem niż Réné Pinceau, jest to składać świadectwo, że w kieszeni nie tkwi ani jeden

Napoleon.”

*** Handel piaskiem w Long Island w Ameryce Północnej prowadzony jest na olbrzymią skalę. Kapitał zakładowy tego przedsiębiorstwa obliczają na dwa miliony dolarów a wywóz dzienny dochodzi do 4,500 ton piasku. Dzień i noc ładują piasek na okręta, które dostawiają go do różnych portów. Sam port Washington pobiera ztamtąd rocznie piasku za 100,000 dolarów.

*** Moralista i reformator indyjski Babu-Keszno Czunder-Sen, powziął myśl podniesienia moralnego poziomu swych współbraci, za pomocą przedstawień dramatycznych i w tym celu napisał i wystawił dramat p. t. „Nawabundabum” w którym wyszydza zdrożności i występki współczesnych Bengalczyków. Według indyjskiego dziennika „Hondus patriot” dramat ten ma za zadanie „głupstwa ludzkie w lot strzelać” jakoteż zaszczepić w przedstawienia teatralne, zasady religii i moralności. Treść dramatu stanowią: smutne następstwa pijaństwa, szaleństwo żony bohatera dramatu, żal za grzechy samego bohatera i pogodzenie się z rodziną, walka pomiędzy cnotą a występkiem, zakończona naturalnie zwycięztwem odniesionem przez cnotę. Przedstawienie wywarło ogromne wrażenie na hindusach; zajęcie nie ustawało ani na chwilę, pomimo, że widowisko trwało kilkanaście godzin bez przerwy.

*** Nie wszystkie narody jednym kolorem oznaczają żałobę. I tak, w Chinach szaty żałobne są białe; w Turcyi, Syryi i Armenii błękitne; w Egipcie żółte; w Etopii szare. Wszystkie te kolory są symbolami.

Biały oznacza czystość jako atrybut zmarłych; błękit ma oznaczać niebo, gdzie przebywają szczęśliwe dusze; żółty, kolor zwiędłych liści, przypomina że śmierć jest końcem wszelkich ludzkich nadziei i że człowiek opada jak liść w jesieni, nakoniec szary, przywodzi na myśl ziemię do której wszystko powraca. Syryjczycy uważają noszenie żałoby po zmarłych za właściwe kobietom i dlatego podczas żałoby noszą suknie kobiece.

Mieszkańcy Tracyi wyprawiają uczty i weselą się po śmierci blizkich krewnych czy przyjaciół, na oznaczenie, że zmarły opuszczając ten padoł płaczu, przeszedł do krainy szczęścia i błogosławieństwa. Kolor czarny, jako żałobny, pierwszy raz wprowadzony został we Francyi przez żonę króla Karola VIII, przedtem królowe nosiły białą żałobę i zwano je „białemi królowemi”.

*** „Gazeta d'Italja” podaje niektóre szczegóły o Polakach w Stanach Zjednoczonych.

W Stanie Minneset, okręgu Lincoln, założoną została osada zwana Wilno, w której Polacy wystawili sobie kościół z wieżą 60 stóp wysoką a obecnie wykończają plebanię i szkołę. Jest tam dość znaczna liczba ziomków naszych: umyślili założyć towarzystwo rolnicze. W tymże samym Stanie Minneset, na pograniczu Stanu Wiskonsin, z początkowania miejscowego biskupa, w mieście La Crosse, odbył się *meeting* polski, na którym postanowiono zakupić grunt na wzniesienie polskiego kościoła. Na temże zebraniu; na wniosek księdza Mayera, ustanowiono komitet, którego celem jest dostarczanie pracy Polakom przybywającym do La Croise.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Января 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Chmielna N. 1530 (20).

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM PIERWSZY.

(Dalszy ciąg.)

— O! to nie podpada wątpliwości... Biedna kobieta, szczerze nad nią ubolewam.

— W takim razie, zaklinam panią, w imie mego przywiązania do niej, w imie mej braterskiej miłości dla Raynolda, w imie tego wszystkiego co sam przecierpiałem i czego obawiam się dla niego, nie narażaj się pani na podobny żal i cierpienia; nie wystawiaj swego szczęśliwego i wolnego od wszelkich zarzutów życia, na zgryzotę, która dla takiej jak twoja duszy stałaby się trudną do zniesienia katuszą—wysłuchaj mej prośby!..

Armand mówił z głębokiem wzruszeniem, a jednocześnie patrzył niespokojnie w oczy pani de Liminges, ale nie wyczytał w nich upragnionej odpowiedzi.

— Proszę cię, Armandzie, odpowiedziała trochę niecierpliwie, daj pokój tym dziwactwom. Nie przeczę że opowiadanie twoje wzruszyło mnie bardzo, że ubolewam nad tobą, mój biedny przyjacielu, i nad tą nieszczęśliwą matką, ale nie rozumiem, doprawdy, jaki wniosek chcesz wyprowadzić z tego wszystkiego, ani też jaki związek widzisz między tą smutną historyą a tem co mnie dotycze. Przyznaję że w tym razie rzeczy poszły bardzo nieszczęśliwie, ale zdrugiej strony bardzo wiele młodych osób na miejscu Laury d'Aigremont, czułyby się szczęśliwemi i nie zboczyłyby nigdy z drogi cnoty.

— Wiem o tem, odpowiedział zimno Armand, że są panny zgadzające się na wszystko, byle otoczono je ramami, i byle życie nie było dla nich zbyt trudne i przykre, i że nawet wiele podobnych małżeństw nie możnaby zaliczać do najgorszych. Co więcej, pomimo bolesnego ciosu jaki mnie spotkał, przyznaję że po większej części matki rozporządzają rozsądnie przyszłością córek, i jeżeli nie pozwalają im samym wybierać mężów, to umieją wybierać dla nich dobrze i starannie.

— Cieszy mnie że przynajmniej pod tym względem nie różnimy się w zdaniu.

— Wszak nie przeczyłem temu nigdy; wszak byłem bardzo zadowolniony z małżeństwa Bianki którą kocham jak własną siostrę, i ani na chwilę nie lękałem się o jej szczęście.

— A więc dla czegóż miałabym pomylić się teraz, idąc za własnem mojem zdaniem?

— Bo tu okoliczności są całkiem odmienne; Raynold należy do rzędu osób potrzebujących zupełnie innego szczęścia, a nadewszystko wolności wyboru, którą uważa za rzecz świętą i nietykalną. Nie przeczę że łatwo byłoby wskazać takich którzy wyrzekają się jej dobrowolnie i dozwalają kierować swem sercem, ha! tem lepiej lub tem gorzej dla nich! Ale czy można karać za to Raynolda że ma szlachetniejsze serce i wznioślejsze pojęcia? Skoro umie kochać szczerze i szlachetnie to, na miłość Boską! trzeba uszanować te jego uczucia.

Margrabiana zapomniała już o swem chwilowem rozczuleniu, a to co Malseigne mówił niecierpliwiło ją co raz więcej.

— Uczucia Raynolda!.. odezwała się z ironiją. Doprawdy, Armandzie, dziwi mnie że możesz wyrażać się podobnie; wiesz przecie jaką wartość mają podobne jego uczucia. Gdyby rodzice chcieli zważać na uczucia synów którym się zdaje że są zakochani, byliby zmuszeni upoważniać największe szaleństwa; wszak mieliśmy już pod tym względem przykład na Raynoldzie.

— Pani! odpowiedział Armand z pomimowolnem uniesieniem, jakże można stawiać na równi obecne jego uczucia, z szaleństwami i fantazyami o których pani wspomina. W czemże dziś zasługuje na naganę?.. Czy nawet można mu się dziwić? Nie jestże to rzeczą słuszną i naturalną, że uwielbia, kocha i umie uczcić w Elianie zbiór tak rzadkich przymiotów? Czy nie posiada ona jakiegoś niewysłowionego i jej tylko właściwego wdzięku? Czy być może aby pani tego nie widziała? Jak to być może aby pani nie rozumiała tego że Raynold nie powinien był widzieć jej wcale, skoro nie chciałaś pozwolić na to aby ją pokochał!..

Margrabina siedząc oparta o poręcz fotela z oczyma na pół przymkniętemi, przypatrywała się Armandowi nieznacznie ale z wytężoną uwagą.

— Czy wiesz, drogi mój przyjacielu, rzekła nakoniec wolno z uśmiechem, że broniąc z takim zapałem sprawy Raynolda, okazujesz się nietylko najwierniejszym z przyjaciół, ale zarazem najnieoględniejszym i najszlachetniejszym z ludzi!..

Chciałaby jednak cofnąć te słowa zaledwie je wymówiła, nie przypuszczając nigdy aby wywołały podobny skutek. Armand odsunął się od niej gwałtownie, z wyrazem zadziwienia i gniewu, następnie zaś twarz jego przybrała wyraz chłodny i poważny.

— Czy mogę zapytać pani margrabiny, rzekł zimno, co mają znaczyć powyższe jej słowa?..

Armand od pietnastego roku swego życia stał się poniekąd członkiem rodziny de Liminges, a nigdy jeszcze nie odezwał się do niej w ten sposób, dlatego ją to zadziwiło i zmieszało.

— Nic, odpowiedziała, nic.. żartowałam tylko.

— Pani szyderstwo nazywa żartem!..

— Szyderstwo!.. Zastanów się, Armandzie... Nie rozumiem co ci się dziś stało!..

— Nie mogę widzieć w tem nic innego! Musi pani uważać mnie za człowieka pozbawionego serca i rozumu, skoro mogła powiedzieć coś podobnego, odpowiedział z uniesieniem.

— Armandzie!..

— A! może mylę się zresztą, może użyła pani tylko tak bolesnego dla mnie wybiegu, aby uwolnić się odemnie i zmusić mnie do milczenia. Niech i tak będzie, tem więcej że nie mógłbym dodać już nic więcej... Niech pani tylko zechce przypomnieć sobie moje słowa i zastanowić się nad niemi, przyjaźń moja dla Raynolda nakazuje mi prosić ją o to; jeżeli nie przyniosą pożądanego skutku, daj Boże aby pani nie żałowała tego do ostatniej chwili życia!

Kończąc te słowa wstał i wyszedł, zanim margrabina zdołała mu odpowiedzieć.

XII

Wróćmy teraz do Eliany, nie domyślającej się wcale że wywołała pomimowolnie burzę która ją także dosięgnąć miała. Odczytywała właśnie po drugi raz list kuzynki, z rozczuleniem nie zbyt usprawiedliwionem treścią listu.

„Moja droga Eliano, pisała Bianka, zadziwia cię zapewnie moje milczenie, i zaniepokoiłoby cię niewątpliwie, gdybyś nie wiedziała już z codziennych moich listów do mamy, że tylko jeden dzień bawiliśmy w Crécy... (Crécy opiszę ci później, a zresztą zobaczysz je sama) a następnie wyjechaliśmy do Włoch. Dziś donoszę ci tylko że we Francyi zabawiliśmy się dwa dni, a w Rzymie cztery, i następnie udaliśmy się do Como, uciekając przed gorącem które jednak i tu nam dokucza. Jakkolwiek tak krótko bawiliśmy we Florencyi i w Rzymie, widzieliśmy tam wszystko co tylko było można zobaczyć, wychodząc bardzo rano a wracając późno do domu, ale to wszystko przekonało mnie tylko: najpierw, że nie jestem ciekawa; powtóre, że nie umiem tego wszystkiego co trzeba umieć aby sztuki piękne budziły żywe i szczere zajęcie; potrzecie, że nie znam tak dobrze dziejów Włoch, abym mogła od razu sobie przypomnieć czem wsławili się ludzie noszący nazwiska z któremi się spotkałam często oglądając stare zabytki. Co zaś do galeryj, wyznaję z pokorą że sprawiały na mnie takie wrażenie, jakby składały się wszystkie z jednakowych obrazów i posągów. Ty, Eliano, posiadasz już jakieś wrodzone artystyczne poczucie i zamiłowanie do tych wszystkich rzeczy, może więc potem co powiedziałam wydam ci się ograniczoną, ale do ciebie mówię zawsze otwarcie. Wiesz że nie lubię nigdy przedstawiać się lepiej niż jestem, a zwłaszcza przed tobą, która kochasz mnie taką jak jestem i którą ja także kocham taką jaką jesteś, z całą twoją wyższością umysłową i moralną i z tem czemś co się nie da określić, a jednak tak uprzyjemnia życie obok ciebie, że nie mogłabym się na długo wyrzec twej obecności. A jednak jestem bardzo szczęśliwą, Eliano! mąż mój kocha mnie i nie widzi we mnie żadnej wady, ja z mej strony nie dostrzegłam w nim nawet najlżejszej. Mamy zupełnie jednakowe zdanie o wszystkiem o czem pisałam wyżej; zarówno podziwiamy piękne, nieznane nam przedtem okolice, ale nadewszystko zgadzamy się w tem że pragniemy zarówno wrócić jak najprędzej do Crécy. Iwon zakłada tam nowe plantacye, pragnie założyć szkołę, słowem zajmuje się mnóstwem rzeczy budzących we mnie najżywsze zajęcie, a ta nasza siedziba w której przebyłam tylko jeden dzień wydaje mi się piękniejszą nad wszystko co w podróży widziałam. Największą jednak przyjemność sprawia nam nabywanie różnych przedmiotów do upiększenia naszego domu; wiesz jak Iwon zna się na tem, i jak wiele gustu ma pod tym względem, to też nakupiliśmy wielką ilość świeczników, obić, makat i różnych sprzętów; znajdują się także między nimi ogromne zwierciadła i szafa jakiej nie widziałaś jeszcze!.. Słowem, wolimy oboje zwiedzać sklepy niż galerye obrazów i wszelkie osobliwości; bo na cóż się zdało oglądać choćby najpiękniejsze rzeczy, skoro nabyć ich nie można? A pomyśl tylko jak miłe czeka nas zajęcie gdy będziemy przyozdabiać nasz pałac przywiezionemi z Włoch skarbami, na-

stępnie zaś gdy je tobie pokazywać będziemy, skoro mama wraz z tobą przyjedzie do nas w październiku. Iwon powita cię z radością w swym domu, co zaś do mnie nie potrzebuję ci nawet mówić jak mnie to uszczęśliwi, bo wiem że sama domyślasz się tego, i także z przyjemnością myślisz o tej chwili w której uściska cię twoją szczerze cię kochająca.”

Bianka.

Był to jak widzimy list bardzo zwyczajny, a jednak Eliana ucałowała go z czułością, jakby chcąc tym sposobem podziękować Biance zato że kochała ją zawsze jednakowo, gdy inni...

Czuła że od pewnego czasu wszystko się dla niej zmieniło, choć nie rozumiała z jakiego powodu; spostrzegła że Raynold unikał spotkania z nią lub dłuższej rozmowy, a pani de Liminges nie była już dla niej tak dobrą jak dawniej. Jej spojrzenie, przed tem tak serdeczne, teraz zmieniło się zupełnie; to śledziło niespokojnie wszystkie jego ruchy, to zatrzymywało się na niej zimne i ostre. Eliana przyzwyczajona od dzieciństwa do serdecznej życzliwości otaczających ją osób, doznawała teraz takiego wrażenia jakby ją przeniesiono nagle z pod włoskiego nieba, do jakiejś mglistej i zimnej, północnej krainy.

Siedziała długo jeszcze na ławeczce, pogrążona w myślach tak tłumnie cisnących się do jej głowy, że trudno byłoby je powtórzyć. Nakoniec podniosła się i wracała wolno do pałacu, lecz usłyszawszy tentent koni zatrzymała się na perronie.

Raynold pierwszy zeskoczył z konia chcąc podać rękę pannie de Longvilliers, ale Konstancya nie zważając na to wsparła rękę na ramieniu dziadka i zeskoczyła na ziemię. W ręku trzymała wielki bukiet z róż, a silny rumieniec pokrywał jej lica, ale wyraz dumy i niezadowolnienia malujący się na jej twarzy, kazał się domyślać że to nie sama tylko przechadzka zabarwiła tak świetnie jej policzki. Wyraz twarzy księcia de Longvilliers zdradzał także głębokie niezadowolenie; pan de Trévals był niezwykle poważny, ale czoło jego rozjaśniło się skoro spostrzegł Elianę. Zbliżył się natychmiast do niej, ukłonił się zwłaściwą sobie mieszaniną grzeczności i zarozumienia, a potem, wyszeptał te niezrozumiałe dla niej słowa:

— Zdaje mi się że zrozumiałem panią, i mam nadzieję że wkrótce otrzymam przebaczenie.

Eliana spojrzała na niego z zadziwieniem; nie zrozumiała go zupełnie, ale nawet w przeciwnym razie nie mogłaby mu odpowiedzieć, gdyż Konstancya wzięła ją za rękę i pociągnęła z sobą aż do swego pokoju.

Gdy weszły już na schody, panna de Longvilliers rzekła:

— Patrz, Eliano, jakie to rzadkie kwiaty. Dam ci jeden, dodała podając jej różę.

— Rzadkie kwiaty?.. wszakże to róże mszyste.

— Tak, rzadkie, bo nie znajdziesz ich z pewnością w teraźniejszych modnych ogrodach. W Erlon-du-Gué jest ich mnóstwo, i na moje żądanie, twój śliczny kuzynek raczył wydać rozkaz aby ułożono z nich dla mnie ten bukiet. *Na moje żądanie* powtórzyła z naciskiem, marszcząc czoło, bo inaczej nie pomyślałby o tem!.. Zamilkła na chwilę, zdawało się jednak że zamierza powiedzieć coś jeszcze, gdy odgłos dzwonka przypomniał jej że zaledwie będzie miała czas przebrać się do śniadania.

— Zejdziemy się później, Eliano, w dużym salonie, na pierwszą lekcyę śpiewu, i pomówimy tam swobodnie; teraz muszę się ubrać, a mam na to zaledwie pół godziny.

Odeszła, a Eliana stała czas jakiś zamyślona, z różą w ręku. Po niejakim dopiero czasie przypięła ją do stanika i zeszła do salonu.

— Kto wie, pomyślała idąc tam, czy nie ja najprzyjemniej spędziłam poranek?

Nie mogłaby nawet powątpiewać o tem, gdyby słyszała o czem w tej chwili właśnie, książę i księżna Longvilliers rozmawiali z sobą.

— Czy być może? mówiła z żywością księżna. Czy jesteś tego pewnym?

— Zdaje mi się że pod tym względem możesz bezpiecznie spuścić się na mnie? Zresztą przewidywałem że tak będzie, i mówiłem ci to zaraz.

— Mówiłeś!.. przewidywałeś!.. powtarzasz to zawsze gdy rzeczy idą niepomyślnie, odpowiedziała płaczliwie księżna.

Pani de Longvilliers była osobą nieśmiałą i słabowitą, zestarzałą przedwcześnie po śmierci ukochanego i jedynego syna, poległego w Afryce, którego żona umarła w miesiąc później, zaraz po przyjściu na świat Konstancyi. Opieka nad pozostałą sierotką i dalsze jej wychowanie, były dla niej prędzej źródłem ciągłych trosk niżeli pociechy. Pragnęła też gorąco wydać wnuczkę za mąż, nie tylko dla ustalenia jej losu, ale może więcej jeszcze aby się uwolnić od zbyt ciężkiej dla siebie odpowiedzialności.

— Pomyślnie czy niepomyślnie, odpowiedział książę, to nie podpada wątpliwości że rzadko mylę się w moich przewidywaniach. Wszak ostrzegałem cię abyś nie przyjmowała zaproszenia pani de Liminges, dopóki nie będziemy pewni że to się zgadza z życzeniem jej syna. Otóż przekonałem się że on wcale o tem nie myśli, i pragnę aby Konstancya wyjechała ztąd jak najprędzej.

— Ale skądże mogło mi przyjść na myśl tak nieprawdopodobne przypuszczenie?

— Trzeba było zastosować się do mej rady, i nie przyjeżdżać dopókiby pan de Liminges nie oświadczył się o rękę naszej wnuczki.

— Jesteś niesprawiedliwym dla mnie, odpowiedziała księżna z żywością; powinienbyś zrozumieć to przecie, że chciałam, zanim nastąpi stanowcze zobowiązanie, przekonać się naocznie czy ten majątek jest rzeczywiście...

— Takim jak ci go przedstawiono... przyznaję że pod tym względem miałaś słuszność.

Księżna zadowolniona tem ustępstwem, mówiła dalej z większą jeszcze żywością:

— Ponieważ (jakkolwiek od kilku lat rzadko bywałyśmy u siebie) dawniej żyłyśmy w bardzo przyjaznych stosunkach, nie było w tem nic nadzwyczajnego że margrabina zaprosiła mnie do siebie, i że ja przyjęłam zaproszenie. Prócz tego spostrzegłam już w Paryżu, że pan de Liminges podobał się bardzo Konstancyi.

Pan de Longvilliers wzruszył ramionami.

— Jak jej się podoba każdy inny równie piękny i obdarzony równie znakomitem nazwiskiem i majątkiem jak Raynold de Liminges, a wszakże jest takich jeszcze dość na świecie. Ale nie ma co już mówić o tem, trzeba tylko oznajmić pani de Liminges że wyjedziemy jutro.

Księżna wiedziała że skoro mąż jej poweźmie raz jakieś postanowienie nie odstąpi już od niego, i że będzie musiała zastosować się do jego woli. Ale nawet jej obrażona duma nie mogła pokonać w niej obawy że okaże się niegrzeczną, i dlatego była tak roztargnioną przy śniadaniu, że każdy musiałby to dostrzedz, gdyby wszyscy nie znajdowali się mniej więcej w takiem samem usposobieniu. W przeciwnym razie nie uszłoby uwagi obecnych, że książę de Longvilliers jest w bardzo złym humorze; oraz że dumna twarz Konstancyi przybrała jakiś wyraz pogardliwy; że margrabina była widocznie rozdrażniona, a Eliana zkłopotana obejściem pana de Trévals, jeszcze dla niej niezrozumialszem niż jego słowa.

Jakkolwiek nie siedział obok niej, szukał ciągle sposobności zawiązania z nią rozmowy, a gdy zmuszona odpowiedzieć mu zwróciła ku niemu głowę, spotykała się z jego pełnem czułości i zaufania spojrzeniem, co ją rozdrażniało do najwyższego stopnia, a twarz oblała się purpurowym rumieńcem, gdy spostrzegła że Raynold przypatruje się bacznie, tak jej jak panu de Trévals.

Jedyną osobą zupełnie swobodną, i której szczebiotliwość była na ten raz bardzo pożądaną, była pani de l'Héris. Wolałaby, co prawda, aby ktoś inny towarzyszył jej w czasie przechadzki, ale bądź co bądź należała do niej, i znajdowała się w wyborowem towarzystwie, a to jej wystarczało. Odtąd będą ją zaliczać w okolicy do bliższych znajomych margrabiny, a nikt nie będzie wiedział czy ją przyjmowano w Erlon z zimną grzecznością, czy też otaczano hołdami, bo z pewnością pan Edgar nie będzie rozgłaszał, (choćby to zrozumiał nawet) że jeźli nie został odsadzonym, to dla tego jedynie że nikt nie postarał się oto.

Gdy wszyscy już zasiedli do śniadania, a pan de Malseigne nie przychodził, margrabina chciała posłać po niego, ale uwiadomiono ją że parę godzin temu wyjechał do Paryża. Ukryła starannie swoje niezadowolnienie, i udała że ją to nie dziwi wcale, bo Malseigne często wyjeżdżał tak lub przyjeżdżał, nie uprzedzając o tem nikogo; ale Raynold nie mógł ukryć zadziwienia. Wiedział że Malseigne pozostał w domu aby pomówić z jego matką, wiedział co miało być przedmiotem ich rozmowy, dla tego też ten nagły wyjazd Armanada miał dla niego tak doniosłe znaczenie, że twarz jego, już i tak posępna, stała się prawie ponurą.

Po śniadaniu, które każdemu bez wyjątku wydawało się nieznośnie długiem, udano się jak zwykle do biblioteki. Księżna zbliżyła się do okna pociągając za sobą panią de Liminges, i uwiadomiła ją że: „nieprzewidziany interes” zmusza ich pożegnać ją nazajutrz rano.

Margrabina zrozumiała co to znaczy, i na chwilę straciła panowanie nad sobą.

— Zaklinam panią! zawoła ujmując rękę księżnej, nie cofaj się jeszcze; zechciej błagam cię, nie zmieniać twych zamiarów przynajmniej do wieczora.

Nie umiałaby sama powiedzieć czego się jeszcze spodziewała; nie spostrzegła nawet że mówiła do księżnej tak jakby sobie otwarcie wynurzyły swoje życzenia, gdy tymczasem nie zdradziły ich dotąd ani jednem słówkiem.

— Do wieczora? powtórzyła księżna, zapominając trochę o swej osobistej godności pod wpływem budzącej się znów nadziei.

— Tak, do wieczora.

Księżna starała się zadowolnić margrabinę nie przekraczając woli męża.

— A więc rzekła, wyjedziemy już niezmiennie jutro rano, ale jeźli pani życzy sobie tego, nie wspomnimy o tem nikomu aż do wieczora.

Uścisnęły się za ręce, i margrabina usiadła przy pani de l'Héris, oczekującej na swój powóz. Raynold przerzucał gazetę i czasem tylko przemówił jakieś słówko; Konstancya siedziała przy oknie zadąsana, z książkę w ręku. Książę wyszedł z żoną do ogrodu, jedna więc tylko Eliana dopomagała stryjence zabawiać gości, dopóki powóz nie zajechał.

Pani de l'Héris wstała natychmiast, gdyż niebo tak pogodne rano, pokryło się chmurami, powietrze było ciężkie i duszące, słowem, wszystko zapowiadało że ją w drodze zaskoczy burza, jeźli nie wróci śpiesznie do domu.

Raynold rzucił gazetę, z uprzedzającą grzecznością podał rękę i odprowadził do powozu panią de l'Héris, nie domyślającą się bynajmniej, że oczekiwał niecierpliwie jej wyjazdu. W przeciwnym razie nie pożegnałaby go tak miłem spojrzeniem i uśmiechem.

Raynold stał chwilkę przed pałacem, patrząc na niebo równie posępne jak jego myśli, potem wracał wolnym krokiem do biblioteki, gdzie margrabina została jeszcze, ale zatrzymał się nagle na środku sieni. Postanowił skorzystać z tej chwili którą mógł przepędzić samotnie w swoim pokoju, i oddać się swobodnie swym myślom. Stan powietrza był wiernem odbiciem tego co się działo w jego duszy... Nad jego głową zawisła także burza, zagrażająca jego całemu życiu. Nie mógł nawet wątpić o tem że nadejdzie, a choć nie wiedział dokładnie kiedy, czuł że się już zbliża.

Jak tylko pani de l'Héris wyszła z pokoju, Konstancya położyła książkę, zbliżyła się do Eliany, i pociągnęła ją za sobą do wielkiego salonu, zawsze pustego o tej porze. Margrabina została więc sama w bibliotece, z czego była bardzo zadowolniona; nie mogła już dłużej odkładać stanowczej rozmowy z synem, a sądziła że ten wróci za chwilę. Namyślała się właśnie od czego zacząć rozmowę, gdy otworzono drzwi, tylko że nie Raynold ale Hektor de Tréwals wszedł do biblioteki.

Skoro tylko przekonał się że nie było tam nikogo prócz margrabiny, zbliżył się prędko do niej zapytując czy może ją prosić o chwilę rozmowy.

Zapewniła go że z największą przyjemnością zastosuje się do jego życzenia; mówiła prawdę, domyśliła się zaraz co jej chce powiedzieć, i wyraz radości zabłysnął w jej oczach, a uśmiech zadowolnienia przesunął się po ustach. Lękała się tylko aby Raynold nie przerwał im rozmowy, i spoglądała niespokojnie na drzwi.

— Może pan chce pomówić ze mną tak aby nam nie przerywano? rzekła nakoniec.

— Tak, pani, a ponieważ widziałem że Raynold wszedł do swego pokoju, a państwo de Longvilliers udali się do siebie...

— Tem lepiej, rzekła margrabina ucieszona tem że wszystko składa się tak dobrze, bo o ileż to łatwiej będzie jej mówić z synem, gdy znikną wszelkie wątpliwości co do zamiarów pana de Trévals.

— Przejdźmy w każdym razie do mego saloniku, gdyż tu przeszkadzałyby nam dźwięki fortepianu. Synowica moja i panna de Longvilliers są w przyległym pokoju, i mają śpiewać czy też grać razem.

Pan de Trévals ukłonił się i poszedł za margrabiną do tegoż samego saloniku, w którym kilka godzin temu, słyszeliśmy jej rozmowę z panem de Malseigne.

XIII

Konstancya otworzyła fortepian jak tylko weszły do salonu, i zdawała się zajęta jedynie lekcyą śpiewu. Eliana oczekiwała cierpliwie skutku poszukiwań swej towarzyszki, przeglądającej nuty.

— Otóż znalazłam, rzekła nakoniec Konstancya. Jestto arya z Lunatyczki, łatwa i zastosowana do twego głosu. Powtarzaj za mną:

Ah! non credea mirarti
Si presto estinto, o fiore!
Passati al par d'amore,
Che un giorno sol duro.

— Co to znaczy? zapytała Eliana.

— Powiem ci zaraz co to znaczy: *Nie sądziłam że zwiędniesz tak prędko, o kwiatku! Przeminąłeś jak miłość, trwająca jeden dzień tylko!*

Eliana wzięła nuty, przeczytała te słowa cicho i uważnie, a następnie powtórzyła je głośno.

— Bardzo dobrze, Eliano! Posiadasz, jak ci to mówiłam, słuch tak doskonały, że powtórzyłaś te wiersze z wybornym akcentem, i tak jakbyś je rozumiała.

— Bo też rozumiem skoro mi przetłomaczyłaś.

— Teraz posłuchaj, ja zaśpiewam, a ty potem powtórzysz to samo.

Konstancya zaśpiewała tę aryę Beliniego, wtenczas więcej jeszcze upowszechnioną niż obecnie, ale której Eliana nie znała wcale. Słuchała jej z silnem wzruszeniem, i powtarzała w myśli patrząc na nuty które trzymała jeszcze w ręku.

— Teraz na ciebie kolej.

Eliana kładąc nuty na pulpicie, potrąciła niemi różę przypiętą do stanika, i wszystkie listki posypały się na ziemię.

— O! moja biedno różo! zawołała ze smutkiem; nie dającym się usprawiedliwić tak błachą przygodą.

— Doprawdy, Eliano, opadła w samą porę! zawołała śmiejąc się Konstancya; tym lepiej teraz będziesz śpiewać.

Eliana milczała chwilę, a potem odśpiewała dokładnie i z czuciem to co słyszała przed chwilą.

Konstancya miała słuszność; Eliana posiadała nietylko pamięć, dzięki której mogła wygrać wszystko co słyszała, ale także łatwość naśladowania dozwalającą jej oddać wiernie każden najlżejszy nawet odcień głosu.

— Doskonale, wybornie! zawołała Konstancya. Ktoby cię słyszał śpiewającą te kilka wierszy mógłby sądzić że jesteś Włoszką. Ale musisz także przyznać że posiadam dar nauczenia, zasadzający się głównie na tem, aby mówić zrozumiale.

Uszczęśliwiona swem powodzeniem, kazała Elianie powtórzyć jeszcze kilka razy toż samo, i zdawała się wyłącznie zajęta swą nauczycielską pracą.

Jednak po niejakim czasie humor jej zmienił się nagle; wstała prędko od fortepianu, usiadła na kanapce, i nie mówiąc ani słowa wsparła się na poduszce i spuściła głowę. Zdziwiona tem Eliana, zbliżyła się do niej.

— Co ci się stało? zapytała siadając przy niej. Czy sprawiłam ci jakąś przykrość pomiwolnie?

— O! nie, odpowiedziała Konstancya podnosząc głowę. Ty jesteś zawsze dobra i miła. Rozumiem już teraz dla czego Bianka de Mouleon kocha cię tak bardzo... Gdybym była twoją kuzynką kochałabym cię tak samo. Szkoda doprawdy że...

Zatrzymała się i zarumieniła; potem widząc że Eliana patrzy na nią z zadziwieniem, dodała śmiejąc się głośno:

— Tak, twoją kuzynką! Gdyby był piękny Raynold chciał postarać się o to, ja z mej strony zgodziłabym się chętnie.

Serce Eliany uderzyło silnie, i lekki rumieniec wystąpił na jej lica; potem jednak gdy lepiej zrozumiała znaczenie tych słów, twarz jej tak pobladła, że towarzyszka jej musiałaby to dostrzedz, gdyby okna nie były zapuszczone gęstemi storami.

Milczała, nie śmiejąc zadawać Konstancyi pytań cisnących jej się na usta, ale też szczęściem ta nie czekała na nie. Panna de Longvilliers była bardzo rozmowna gdy się nie dąsała, a w tej chwili potrzebowała wywnętrzyć się przed kimś.

— Opowiem ci wszystko otwarcie, rzekła, przyrzecz mi tylko że nie powtórzysz tego nikomu.

Eliana obiecała jej to chętnie.

— Obudziłaś we mnie szczere zaufanie, Eliano... Może dla tego że pod wielu względami zachodzi między nami wielkie podobieństwo.

— Tak sądzisz?

— Bezwątpienia. Wszakże obie jesteśmy sierotami, i nie mamy sióstr i braci. Słyszałam że kochałaś z całej duszy dziadka, który cię wychował; ja także kocham bardzo mojego.

— Prawda; nie przyszło mi to na myśl do tej chwili.

— A więc powiem ci, czego zresztą zapewnie domyślasz się sama, że odkąd skończyłam ośmnaście lat, (to jest od sześciu miesięcy), myślą o tem aby mnie wydać za mąż, o czem i ja myślę także. Dla czego spojrzałaś na mnie z takiem zadziwieniem? Wszak jest to rzecz bardzo naturalna... Mój dziadek kocha mnie z całej duszy, ale jest surowy; Babcia zawsze smutna, a często słaba, a z tego powodu nie wesoło u nas w domu. Dla tego też sprawiło mi to prawdziwą przyjemność, gdy w tym roku, przy końcu postu, Horacy de Trévals zaczął znów bywać u nas... Znowu oznaki zadziwienia? Doprawdy, Eliano, jest to jedyną twoją wadą, że co chwila zdajesz się spadać gdzieś z obłoków... Tak, Horacy de Trévals; a nie ma w tem nic tak dziwnego, ponieważ matka jego była Longvilliers z domu, i on odziedziczy kiedyś tytuł po moim dziadku. Tylko że stosunki nasze z jego ojcem były nader zimne, więc i on dopiero po jego śmierci zaczął odwiedzać nas częściej, i przyznaję że z początku przyjmowałam go bardzo dobrze... Podobał mi się dosyć, a o ile mi się zdaje, to ja podobałam mu się już bardzo, gdy nas zaproszono na ślub Iwona de Mouleon. Wtenczas to zobaczyłam pierwszy raz twego kuzyna Raynolda, i dałam mu natychmiast pierwszeństwo nad Horacym. Wprawdzie, pan de Trévals jest dość bogaty, (inaczej nigdy nie pomyślałabym nawet o nim) i będzie kiedyś księciem, co także ma pewne znaczenie, ale nie posiada znów tak wielkiego majątku jak pan de Liminges, nie pochodzi z tak dawnej i znakomitej rodziny, a nadewszystko, jakkolwiek ma wiele dystynkcyi, nie przypomina, jak twój kuzyn, jakiegoś portretu Van Dyck'a, słowem nie może w niczem wytrzymać z nim porównania; dla tego też wybór między nimi był dla mnie bardzo łatwy.

— Wybór? Więc Raynold ci się oświadczył?

— Ale nie! Jakie też z ciebie jeszcze dziecko! Tylko wiadomo wszystkim że wola pani de Liminges jest prawem w waszej rodzinie, a domyśliłam się zaraz że pragnie aby jej syn ożenił się ze mną, gdy w dniu ślubu Bianki prosiła abyśmy tu przyjechali. Dla tegoż samego powodu babcia tak chętnie przyjęła zaproszenie, i dla tego nakoniec przybyliśmy do Erlon i bawimy w nim dotąd!... Tak!... Jestem tu dla ciebie tylko, okrutniku!... rzekła tragicznym tonem, zwracając się do wielkiego portretu Raynolda, wiszącego naprzeciwko niej.

Potem wybuchnęła śmiechem.

— O! nie umrę ze zmartwienia, bądź pewną Eliano, jakkolwiek dziś rano dowiedziałam się z pewnością, że twój śliczny kuzynek wcale nie myśli o mnie!...

— Dziś rano?

— Tak; i nie podpada to już dla mnie najlżejszej wątpliwości.

— Jakimże sposobem pozyskałaś tę pewność?

— Opowiem ci to zaraz. Najprzód muszę przyznać że w pierwszych dniach naszego tu pobytu był zaledwie grzecznym dla mnie, ale powiedziałam sobie: Cóż to znaczy, jestem bogata, piękna, równa mu urodzeniem, nie mógłby znaleźć stosowniejszej dla siebie partyi, i nie wątpiłam że w końcu moje życzenia zostaną spełnione. Rzeczywiście, następnych dni był już uprzejmiejszym, a wczoraj wieczorem nawet bardzo miłym. Ale dziś rano jadąc obok mnie milczał uporczywie, a gdy weszliśmy już do pałacyku, (który, mówiąc nawiasem, jest rzeczywiście prześliczny,) ta nieznośna pani de l'Héris, która jak wiesz plecie wszystko co jej tylko na myśl przyjdzie, zaczęła się unosić nad tem głośno że byłoby to idalnie dobrane miejsce do przepędzenia miodowych miesięcy, i z właściwym sobie brakiem taktu, chciała założyć się z panem de Liminges że najdalej za sześć miesięcy zamieszka tam w tym celu.

— Cóż jej na to odpowiedział?

— Chcę ci to powiedzieć właśnie: Mówiła to przy drzwiach gabinetu zapełnionego różnemi osobliwościami, a ja oglądając je odeszłam na drugi koniec pokoju. Dziadek mój wyglądał przez okno, ale zdaje mi się że równie jak ja nie stracił ani jednego słówka z odpowiedzi Raynolda.

— Nie mogę przyjąć zakładu, rzekł bardzo poważnie, wiedząc że musiałbym go wygrać, gdyż jestem pewnym że nie ożenię się za sześć miesięcy.

— W takim razie za rok.

— Także nie.

— A więc *nigdy*?

— *Nigdy* jest może za śmiałym wyrażeniem; ale ale jak na teraz może właściwszym niż wszelkie inne.

Panna de Longvilliers przestała mówić i siedziała czas jakiś zamyślona, nie zwracając na to uwagi, że Eliana nie przerywa ani jednem słówkiem jej milczenia.

— Tak, odezwała się nakoniec, powiedział to, a dźwięk jego głosu nadawał wybitniejsze jeszcze znaczenie tym słowom, które dołączone do dawniejszych moich spostrzeżeń doprowadziły mnie do tego wniosku: że pan de Liminges nie myśli ani o mnie ani o kim innym, i z tego powodu przestałam także myśléć o nim. Zawsze to lepiej niż być zwyciężoną przez jakąś rywalkę.

Eliana słuchała jej z największą uwagą, ale pomimo to nie wiedziała co ma odpowiedziéć.

— Dotknęło mnie to, mówiła dalej Konstancya, że nie potrafiłam zmienić tego postanowienia, ale... domyślam się że musi miéć jakiś stosunek w świecie... nie mającym nic wspólnego z naszym, i nie myślę rywalizować z podobną istotą!.. Co ci się stało, Eliano?.. Czemu znów tak szeroko otwierasz oczy?

— Bo doprawdy... nie mogę zrozumiéć, czy też uwierzyć temu co mówisz...

— Ja także nie rozumiem tego dobrze, i mówię tak na domysł, powtarzając to co mówiono o innych, sądząc że tego nie słyszę... Ale mniejsza o to!.. nie chcę aby sądził że mnie to zmartwiło, bo na to nie pozwala moja miłość własna, i do końca mego pobytu w Erlon, będę weselszą jak zwykle. Zresztą — mówiła dalej śmiejąc się głośno, w istocie nie zasmuciło mnie to tak bardzo; wszak nie on jeden na świecie jest pięknym i bogatym, a więc łatwo mi będzie wybrać kogoś innego.

W tej chwili błysnęło i jednocześnie rozległ się w powietrzu huk grzmotu. Zajęte rozmową, nie spostrzegły że burza zbliżająca się ciągle, wybuchła nakoniec gwałtownie.

— Jakiż to straszny huk! zawołała Konstancya; widać że piorun uderzył gdzieś blizko... Czy boisz się burzy?

— Nie.

— Ja nie boję się także, ale moją biedną babunię przeraża do tego stopnia, że obawiam się aby nie dostała ataku nerwowego. Muszę śpiesznie pójść do niej, bo dziadunio w takim razie ciągle ją łaje, gdy tymczasem ja staram się ją uspokoić.

Konstancya wybiegła z salonu, ale Eliana długo tam jeszcze pozostała. Potrzebowała zastanowić się nad tem co usłyszała, zebrać myśli snujące się bez ładu w jej głowie. Duszno było w pokoju, wstała podniosła storę, pomimo ulewnego deszczu otworzyła okno i odetchnęła z rozkoszą. Czy tylko dla tego że po gorącym poranku chłodniejsze powietrze sprawiło jej przyjemność? Nie. Eliana nie należała do osób usiłujących ukrywać przed sobą własne uczucia, a jeźli rzadko badała samą siebie, to przynajmniej była niezdolną dawać sobie kłamliwe odpowiedzi. Wczoraj może wahałaby się wyznać dla czego obecność Konstancyi niepokoiła ją ciągle; dziś, niewysłowiona radość jaką uczuła dowiedziawszy się że Raynold nie kocha i nie zaślubi panny de Longvilliers, nie pozostawiła jej pod tym względem najlżejszej wątpliwości. Przedtem doznawała takiego uczucia jakby utraciła brata... więcej niż brata; teraz zdawało jej się że go odzyskała i że piękne dni znów wrócą. Odwracała myśl z pogardą od tego o czem Konstancya ośmieliła się nadmienić. Dosyć jej było na to przypomniéć sobie co Raynold mówił do niej w lesie. Nie, jakiekolwiek mógłby miéć wady to z pewnością nie był kłamcą... a pamiętała tak dobrze każde jego słowo.

W końcu zamyśliła się tak głęboko że nie wiedziała gdzie jest, nie czuła że krople deszczu spadają na jej pochyloną głowę, i nie spostrzegła gdy burza przeszła i słońce zabłysło.

Gdy podniosła nakoniec głowę, ciepły wiatr rozproszył już chmury, krople deszczu błyszczały na liściach jak dyamenty, a woń lasów i kwiatów dochodziła aż do niej i usposabiała do błogich marzeń. Marzyła też długo jeszcze, a w pamięci jej pozostało na zawsze wspomnienie tych pięknych chwil po burzy, które minęły tak prędko... prędzej niż znika blask słońca wydzierającego się z za chmury, i znów nowemi zasłanianego chmurami.

Biedna Eliana! życie w tej chwili wydawało jej się tak pięknem; otworzyła serce nadziei szczęścia i miłości którą przyszłość to urzeczywistnia, to zawodzi, a częściej jeszcze rzeczywistość rozprasza, gdy ta nadzieja opierała się na urojeniu. Jeźli przeciwnie marzymy o szczęściu możliwem, pozwolonem, zgodnem z rozumem duszy, przewyższającym rozum serca (który jednak według Pascal'a przewyższa rozum ludzki) w takim razie marzenie nasze może tak zespolić się z naszem życiem, że znika z niem razem.

Eliana z żalem oddaliła się od okna, jakby przeczuwając że skoro opuści to miejsce, wszystko znów się dla niej zmieni. Ale wybiła właśnie czwarta i musiała już pójść do swego pokoju! Przechodząc koło fortepianu spostrzegła leżące jeszcze na pulpicie nóty, i przyszła jej ochota powtórzyć raz jeszcze to czego się nauczyła. Gdyby Konstancya słyszała ją teraz, byłaby jeszcze więcej zadowolnioną ze swej uczenicy; Eliana śpiewała z większem jeszcze uczuciem niż przed tem, tak dlatego że była samą, jak też że szczere wzruszenie dźwięczało w jej głosie:

Passati al par d'amore
Che un giorno sol durò

Wymówiła wyraźnie i z przejęciem te słowa, które jakkolwiek smutne, podobały jej się bardzo, jak się to często zdarza młodym osobom, zwłaszcza szczęśliwym, nieznającym jeszcze ile goryczy zawierać się może w rzeczywistym smutku.

Wstała chcąc odejść, i krzyknęła zdziwiona prawie przestraszona: Spostrzegła Raynolda w drzwiach do biblioteki; stał tam blady, ponury, z twarzą wyrażającą głębokie cierpienie, z zakrzyżowanemi na piersiach rękami.

— Mój Boże! co się stało Raynoldzie?... czy dawno tu wszedłeś?...

Przysunął się do fortepianu nie odpowiadając jej i nie patrząc na nią, zamknął nóty i odrzucił je gwałtownie na drugi koniec fortepianu.

— To nie miłość, zawołał nakoniec z goryczą, rodzi się i umiera w dniu jednym .. ale nadzieja!..

Eliana przypomniała sobie swoje błogie marzenia i serce jej się ścisnęło: czy ma w tych słowach widziéć smutną przepowiednię?

— Nie rozumiem co mówisz, Raynoldzie. Czemu tak patrzysz na mnie, jakbyś miał powód uskarżać się na mnie?

Raynold starał się zapanowac nad sobą, i odpowiedział już spokojniej:

— Przebacz mi, kuzynko, masz słuszność, nie mogę miéć do ciebie żalu; nie mam prawa żądać od ciebie zaufania, i nie powinno mnie to dziwić że go nie pozyskałem.

— Nic jeszcze nie rozumiem.

— Wszedłem do biblioteki nie wiedząc że tu jesteś, gdy głos twój usłyszałem. Śpiewałaś z takiem przejęciem, z takiem czuciem... a słowa wychodzące w tej chwili z ust twoich, pozbawiły mnie przytomności umysłu... nie wiem dobrze co powiedziałem... Wszak jesteś panią twego losu, i byłoby to z mej strony prawdziwem zuchwalstwem, gdybym ośmielił się żądać abyś mi zdawała sprawę ze swych postanowień.

— Postanowień?.. powtórzyła Eliana z wzrastającem zadziwieniem, jakich postanowień? Proszę cię, Raynoldzie, wytłómacz się jaśniej... wymagam tego... Słowa twoje są dla mnie całkiem niezrozumiałe. Nie mogę odgadnąć o czem mówisz.

— Eliano, zawołał Raynold z uniesieniem, nie mów tak, jeźli chcesz abym nie stracił zupełnie panowania nad sobą. Bądź szczerą... Wiesz że mówię o Horacym...

Twarz Eliany pokryła się gorącym rumieńcem.

— O Horacym! powtórzyła, o panu de Trévals?.. Jakaż styczność może zachodzić między nami?

— Jaka? Zaklinam cię, Eliano, nie udawaj napróżno..

— Ja! miałabym udawać!..

— Nie jestże to udawaniem, gdy utrzymujesz iż nie wiadomo ci że Trévals *upoważniony przez ciebie*, prosił o twoją rękę?

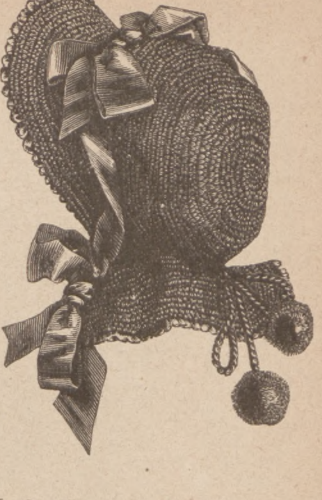
— Upoważniony przezemnie?.. zawołała z oburzeniem. To kłamstwo!..

— Kłamstwo!.. powtórzył, kłamstwo!.. Mój Boże! czyżby to być mogło że...

Wzruszenie nie dozwoliło mu dokończyć, i dopiero gdy uspokoił się trochę dodał prędko:

(*D. c. n.*)


N. 1. Kapturek dla panienki lat 9—12. Krój na arkuszu N. V, fig. 25—26.


N. 2. Kapturek dla dziewczynki lat 7—9.


N. 3. Serweta na bufet zdobna haftem kolorowym. Deseń na arkuszu pod N. 6—7.

Opis do N. 6.

(Dalszy ciąg)

N. 8—11. Garnitur futrzany.

Ryc. 8—10 przedstawia kapelusz, kołnierz i mufkę z jednakowego futerka; mufka zdobna szeroką kokardą stanowi zarazem woreczek 29 c. długi, 20 szeroki podszyty atłasem, nawleczony na sznur jedwabny poniżej nagłówka 5 cent. szerokiego; z boków podszyta szeroka riusza atłasowa. Szeroki kołnierz odpowiedni dla osób szczupłych ma podszewkę atłasową pikowaną; w około szyi dana riusza 3 cent. szeroka. Kapelusz z odwiniętem rondem, opasany bronzową wstążką 8 cent. szeroką, spiętą z tyłu łepkiem sowim, z boku ma wielkie strusie pióro cieniowane. Taki garnitur można uszyć z bronzowego pluszu. Na ryc. 11 dajemy mufkę skunksową uszytą w formie woreczka.


N. 4. Fartuszek jedwabny z plisowaniem.


N. 15. Szlak haftem marokańskim, do serwet portjerów i t. p. Deseń na arkuszu fig. 25. Patrz ryc. 16—17.

N. 15—17. Szlak do serwet, portier i t. p. Haft marokański. Deseń patrz fig. 35.

Szlak taki można wyszyć ściegiem krzyżykowym podług fig. 35, greckim lub plecionym (opisanym w roku 1881); model był odrobiony purpurowym jedwabiem na płótnie żółtawem, część deseniu dana na fig. 35 powtórzona jest sześć razy na ryc. 15. Na ryc. 16—17 dajemy wzory wązkich szlaczków, na ścieg pleciony.

N. 18—28. Ubrania balowe i wizytowe.

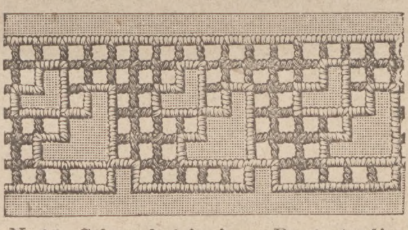
N. 18. Ubranie dla młodej dziewczynki.

Bluzkowa sukienka z fularu w drobne kolorowe paski, ma przody założone w jedną szeroką kontrafałdę, plecy zaplisowane w węższe fałdy a boki gładkie. Pasek zapięty z boku na metalową sprzączkę. Kołnierz i mankiety z ażurowego materyału, oszyte haftowaną falbanką.


N. 5. Fartuszek z haftowaną falbaną.


N. 6. Kołnierz chusteczkowy.


N. 8. Kapelusz futrzany.


N. 14. Szlaczek ściegiem „Punto tagliato do ryc. 3 w N-rze 5.

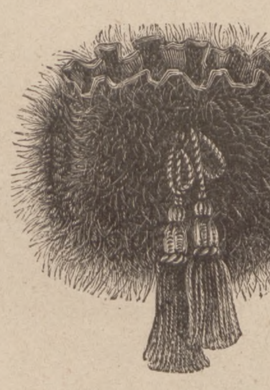

N. 9. Szeroki kołnierz futrzany. Patrz ryc. 8.


N. 7. Kołnierz z żabotem.

N. 12—13. Ubrania domowe.

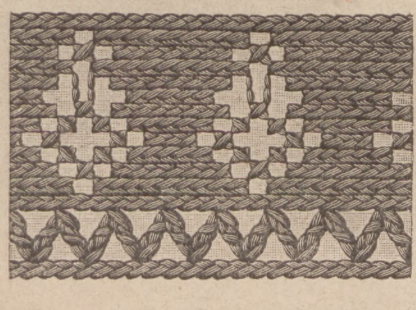
N. 12. Suknia z paletocikiem.

Odrobiona z granatowego kaszmiru „foulé“ ma spódnicę plisowaną przestębnowaną na każdej fałdzie w odstępie 17 cent. od dołu. Przód tuniki fałduje się z bryta 120 cent. długiego, 116 szerokiego, tylny suto podpięty bryt liczy 120 cent. długości a 80 szerokości. Paletocik rozchodzący się u dołu, przybrany szlakiem wyszytym sutaszem na oddzielnym materyale.

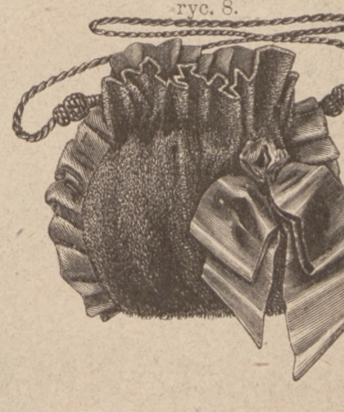

N. 11. Mufka skunksowa z kieszonką.

N. 13. Suknia z draperyą. Krój na arkuszu fig. 31.

Spódnica modelu była z tureckiego szala, stanik i draperya z ciemno zielonego sukienka przybrane pluszem. U dołu spódnicy podszyta falbanka pluszowa 10 cent. szeroka. Draperya upięta z dwóch prostych brytów, wymierzonych podług fig 31, zszytych z sobą od gwiazdki do dwukropka. Część skośna cieniowana na fig. 31 oznacza wykład pluszowy. Górny brzeg draperyi zachodzi na baskinę stanika.


N. 16. Szlaczek haftem marokańskim do ryc. 15.


N. 12—13. Ubranie domowe.
N. 12. Suknia z paletocikiem. N. 13. Suknia z draperyą. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 31.

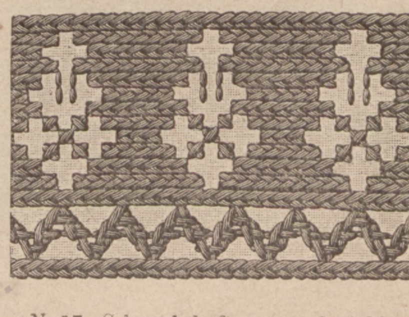

N. 10. Mufka z woreczkiem. Patrz ryc. 8—9.

N. 19. Ubranie balowe z bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 16 w N-rze 5.

Na spódniczce gładkiej z grubego tiulu, ułożona jest spódnica i draperya z niebieskiego jedwabnego tiulu, przybrana falbanami koronkowemi, po 12 cent. szerokości. Na ryc. 16 w N-rze 5 daliśmy oddzielnie stanik bawetowy sznurowany z tyłu, dopełniony panier z materyi surah i przybrany bertą koronkową. Bukiety i girlanda z maków ponsowych.

N. 20. Ubranie dla osoby starszej.

Srebrno popielata adamaszkowa materya i takaż faille z dodaniem koronki 8 cent. szerokiej, użyte są na to strojne, poważne ubranie. Spódnica z długim, nie podpinanym trenem, z materyi adamaszkowej, ma z przodu dodane podwójne fartuszkowe upięcie z materyi faille, oszyte koronką, przemarszczane


N. 17. Szlaczek haftem marokańskim do ryc. 14.



N. 18—28. Ubrania balowe i wizytowe.

N. 18. Sukienka bluzkowa.

N. 19. Suknia z bawetowym stanikiem. Patrz r. 17 w N. 5. i ryc. 27.

N. 20. Ubranie dla osoby starszej.

N. 21. Suknia z żabotem.

N. 22. Suknia z chusteczkowem przybraniem na staniku.

N. 23—24. Suknia z przypiętym trenem. Patrz ryc. 33 w N-rze 5. Krój trenu na arkuszu N. VII, fig. 30.

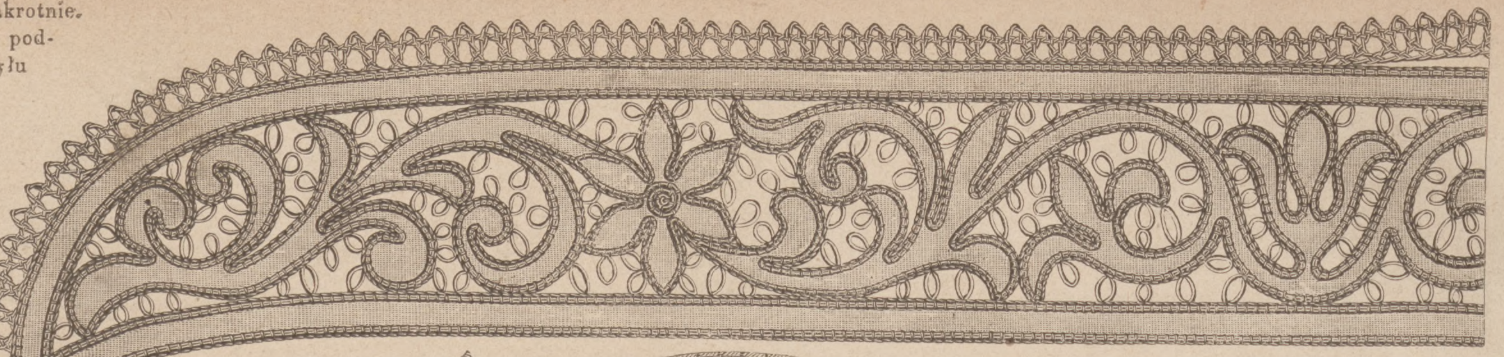
N. 25. Suknia zdobna kwiatami.

N. 26. Suknia fałdowana.

N. 27. Suknia ze stanikiem z wielu części. Patrz ryc. 27 w N-rze 5. Krój na arkuszu N. III, fig. 13—19.

N. 28. Suknia ze stanikiem z baskiną.

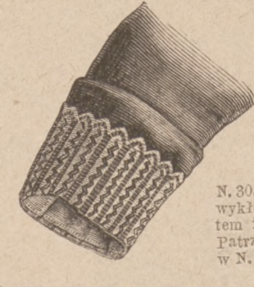
w środku kilkakrotnie. Stanik okrągławo podcięty u dołu, z tyłu ma karoczko ułożone w kontrafałdy; pelerynka oszyta szeroką frendzlą, zagarnirowana koronką, przedłużoną z przodu na kształt żabotu. Na głowie barbka koronkowa, przypięta różą.



N. 29. Kołnierz stojący. Haft wenecki. Patrz ryc. 12—13. w N-rze 5.

N. 21. Suknia z koronkowym żabotem.

Przy vêtement formą princesse, dodane są z przodu szerokie aksamitne ranwersy, między któremi ułożony żabot koronkowy. Pasek zapięty klamrą.



N. 31. Mankiet do założenia na rękaw. Patrz ryc. 30.



N. 30. Kołnierzyk wykładany z haftem i kratką. Patrz r. 21 w N. 5.



N. 32. Rozeta z materyi do przybrania sukni.



N. 33. Pudełko na rękawiczki. Otwarte. Patrz r. 34.



N. 34. Pudełko na rękawiczki. Patrz r. 33 i fig. 32—34 na arkuszu.

N. 22. Suknia z chusteczkowem przybraniem na staniku.

Stanik bawetowy, zapinany z tyłu, z rękawami półdługiemi i kwadratowym wykrojem z przodu, ma przybrnnie z długiego tiulowego szalika oszytego koronką, upięte nakształt chusteczki jednym końcem spuszczonej do lewego boku.



N. 35. Ubranie dla dziewczynki lat 5—7.

N. 23—24. Suknia z przypinanym trenem. Patrz r. 33 w N. 5. Krój trenu na arkuszu N. VII, fig. 30.

Ryc. 23—24 przedstawiają przód i plecy, wspaniałej toalety, odrobionej z ciężkiej materyi sicilienne i aksamitu takiegoż koloru, raz jako kostjum, drugi raz z przypiętym wielkim trenem. Do sukni z trenem odpowiedni jest stanik podług r. 24 a do krótkiej dajemy stanik z oryginalnem zapięciem na r. 33 w N. 5. Przód sukni r. 23 złożony jest w sześć, schodzących się do środka fałd, po 7 cent. szerokich; u dołu spódnicy dana aksamitna plisa 12 c. szeroka. Draperyę przyszytą do spódnicy układa się podług r. 39 i 41 w N. 51 z przeszłego roku, gdzie wypisane są miary długości i szerokości brytów. Formę trenu, który w razie potrzeby przypina się na wierzchu draperyi; daliśmy na fig. 30. Na podszewkę do trenu strojnej toalety ciemno bronzowej użyty był plusz vieil-or, dany u dołu na bufkę między podgarnirowaniem z koronki i pod trenem o ile to może być widocznem, Górny brzeg brytów trenu pozostawiony jest gładko na 18 c. z każdego boku, delej zaś pozostająca szerokość składa się w fałdy po 3 c. szerokie, płasko zaszyte na składach i wszywa w pasek 18 c. długi. Gładko pozostałe brzegi podkładają się w fałdę 5 c. szeroką; do przypinania trenu służą guziki przyszyte do sukni i dziurki obrobione w pasku od trenu, a o 37 c. poniżej paska przyszyte są haftki. Stanik z przodu ścięty bawetowo, z boków w patki, ma przy plecach karoczko ułożone podług r. 24, z dwóch oddzielnych kawałków, po 15 c. szerokich, 48 długich, podszytych materyą. Na kokardy 7 c. szerokie użyta materya złożona we dwoje. Kołnierz i mankiety z koronki 10 c. szerokiej.

(D. n.).



N. 36. Ubranie dla chłopca lat 5—7.



N. 39. Serweta albo kapa. Haft kolorowy. Desenie na lewej stronie arkusza N. 1—4.



N. 37. Sukieneczka wycięta. Patrz ryc. 38. Krój na arkuszu N. II, fig. 7—12.



N. 38. Sukieneczka wycięta Patrz r. 37.